PIĄTY ROK WYDAWNICTWA

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 lipca 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
49 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

LEON KRUCZKOWSKI

OBIAD CZWARTKOWY *)

Właśnie mozolono się nad jarząbkami, szpikowanemi słoniną. Wieniec światłych głów, starannie ufryzowanych, od kilku minut skłaniał się nad porcelaną z królewskiemi inicjałami, tłuszczem pomazanemi. W ciepłem powietrzu jadalni pachnęło imbirem i pomadą.

— o jarząbkach napisał ksiądz Chmielowski w swej encyclopédie, iż ktoby skronie krwią ich na noc posmarował, będzie miał we śnie cudowne spektakle...

Biesiadnicy roześmiali się w miarę możności, na ile któremu szczęki pozwalały, zajęte kruszeniem mięsiwa. Skromniś Karpiński, poeta, dyskretnie przesłonił usta lewą ręką.

— jeśli dobrze pamiętam, — nadmienił redaktor „Monitora" *l'abbé* Bohomolec — mowa tam była o krwi dudka ptaka, nie o jarząbkowej.

— być może! — zgodził się Trembecki, ze zwykłym swoim zjadliwym grymasem, jarosz jedyny przy tym stole wytwornych mięsożerców. — In obscuro tamtych czasów byłby to zresztą szczegół bez różnicy. A poza tem, chętnie przyznaję, iż ta nasza polska encyclopédie przez dudka dla dudków została napisana...

Obficie nakładał na talerz swą ulubioną, zieloną sałatę.

A już pochlebca stary Naruszewicz, biskup smoleński, czemprędzej przełknął kęs ptaszęcej piersi, aby skorzystać z okazji:

— Bogu dziękować! — powiedział odgarniając niesforne koronkowe pleureuzy przy rękawach — Bogu dziękować, rozproszone już u nas mroki saskie! Powinszujmyż, panowie, sobie i Polsce, króla, który — sam światłość najpierwsza — z muzami w państwie swojem na gody zasiada!

Skwapliwy szmer aplauzu frunął nad talerzami, wieniec głów znakomitych przykłonił słowom biskupa smoleńskiego, dwanaście twarzy do pochlebstwa ułożonych skierowało się ku środkowi stołu.

Stanisław August podziękował łaskawym uśmiechem. Siedział tam, u szczytu niejako stołowej architektury, w podkowę zbudowanej, wdzięcznej i lekkiej, płytami lustrzanemi i srebrem połyskującej: piękny jak zawsze, mimo zaczynającej się tuszy dziwnie młodzieńczy w mundurze korpusu kadetów, w kolecie z najcieńszego białego sukna, z granatowemi obszlegami, haftowanemi złotem — z orderem Orła Białego na wypukłej piersi. Jadł niewiele, nie był dziś przy apetycie. Okiem bystrem i pełnem lazurowego ognia rozdzielał pańskie przychylne spojrzenia między swych najmilszych gości.

„Żadnych niewiast, *messieurs*", powiedział był kiedyś, inaugurując te sławne, czwartkowe obiady. Jakoż, nigdy ich tutaj, nawet przelotnie, nie widziano. Zaprosić trzy lub cztery byłoby trochę za mało, jedną zaś — grubo za wiele; zaczem nie zapraszano wcale. Klub wybornych umysłów dobrze się czuł exclusive, bez świegotu damskich głosików. Lecz jedna przecież obowiązywała tu, jakby od kobiecego świata właśnie zapożyczona zasada: *le désordre grâcieux* w dysputach, pełna lotnego powabu zmienność tematów i kwestyj, zwinna i błyskotliwa gra obrotnych intellektów.

— otoć, panowie, zwycięski w naszych dopiero czasach heljocentryzmu systemat! — mówi poważny ksiądz Wyrwicz, geograf, patrząc mile w promienne królewskie oblicze. — Kopernikiańska dziś tryumfuje recentiorum nauka, podług której kręcimy się dokoła słońca...

— tak, jako pieczeń kręci się dokoła ognia! — figluje nad swą jarzyną szambelan Trembecki.

— racz wasza królewska mość ukrócić kuchenny język tego rymopisa! — żartobliwie dąsa się ex-jezuita. — Ja tutaj o zasadzie monarchizmu niebieskiego, on zaś odrazu pieczeń ma na myśli...

— niestety księże! — Stanisław August z wdziękiem rozkłada ręce nad stołem. — Jestem podobno królem, władnym przeważnie tylko nad językami poetów... *Toutefois*, właśnie dlatego nie chcę korzystać z tej władzy... Czy nie mam racji, powiedzże, panie Wybicki? — zwrócił się nagle, z jakimś sekretnym uśmiechem, do młodego mężczyzny w mundurze o barwach województwa poznańskiego.

Prawnik, zaszczycony wyróżnieniem, zapłonił się nieznacznie.

— nie śmiałbym przeciwić się majestatowi, — odrzekł, starannie wiążąc słowa — ale pozwolę sobie napomknąć, iż jeśli w świetnej poetów republice anarchja, owszem, najstosowniejszym wydaje mi się ustrojem, to indziej — inna wcale musi być zasada rządu. Exemplum, co się tyczy prawniczej materji...

Zaczął wywodzić o Likurgach i Solonach, wielce teraz — powiadał — potrzebnych dla Polski. Król słuchał pilnie, z przychylnem zaciekawieniem, bystre monarsze źrenice wpatrywały się uważnie w młodego jurystę. Nie w smak to było innym biesiadnikom czwartkowego stołu. Belletryści dojadali jarząbki z minami ludzi chwilowo pozbawionych zwykłego znaczenia. Nie gustowali w „prawniczej materji", Horacjusza stokroć przenosili nad Likurga. Więc poczuli się nagle jak miłośnicy, przelotnie przez uwielbianą zdradzani kochankę.

— skąd i poco ten puhar przed wami, eminencio? — dyskretnie sovtał Naruszewicza Franciszek Dionizy Kniaźnin, wskazując kielich pozłacany, starożytny, wielki jak waza, trzykwartowy chyba, stojący obok nakrycia biskupa smoleńskiego.

— nie dla mnie, bądź pan pewny! — zaśmiał się cicho prałat, kończąc ogryzać kosteczkę. — Dla eksperymencji jednej. Zeszłego czwartku...

— nie byłem, eminencjo, na tamtym obiedzie —

— prawda! Otóż zeszłego czwartku dyskurs mieliśmy tutaj duży o pijatykach staropolskich. Dałem wywód historyczny w tym przedmiocie i obiecałem dostarczyć na dzisiaj człowieka, który demonstrative nam okaże miarę dawnej sarmackiej w pijaństwie dzielności. Poto właśnie kazał król dobyć ze skarbca ten oto puhar z czasów, jeśli się nie mylę, Jana III... Boję się tylko — Naruszewicz obrócił się i ponad głowy biesiadników spojrzał w otwarte drzwi do sąsiadującego z jadalnią pokoju kredensowego — boję się, aby ów człowiek nie stchórzył...

— czy pan wiesz, — szeptem zagadał przy końcu stołu majster teatralny Zabłoski do sąsiada z prawej strony, malarza Smuglewicza — czy pan wiesz, jakich spektaklów potrzeba naszej warszawskiej publice? Oto zakonnicy w klasztorze jednym na Starem Mieście za opłatą bitego talara dziwnych zbiór relikwij pokazują, gdzie są i szpony orła, jednego z tych, co ciała świętego Stanisława pilnowały, i partykułka gnoju, na którym cierpliwy Hiob leżał, i nawet — imaginuj pan sobie! — ampułka wiatru, w stajence betlejemskiej niegdyś wiejącego!

Malarz rozchichotał się dyskretnie.

— tłumy przychodzą oglądać te curiosa! — narzekał półgłosem komedjopisarz. — Na teatrze zato w rzędach pustki, Bogusławski bokami robi, pierwsza narodowa scena gdzież może równać się w łaskach publiczności z kuglarstwami byle mnicha!

— ba! niechże pan pamięta *quelle autorité* mają za sobą te kuglarstwa! Osiemnaście wieków — *ce n'est pas bagatelle!*

Służba podawała wety.

— jeśli, najjaśniejszy panie, reguł kałkułu politycznego trzymać się będziemy... — słychać było, Wybicki dalej wiódł z królem prawniczą dysputę.

W pokoju kredensowym, pośród krzątających się kamerlokajów, zjawił się tęgi, barczysty mężczyzna w brunatnym habicie Bernardyna. Splótł na wydatnym brzuchu ręce ukryte w fałdach obfitych rękawów i skromnie patrzył przed się powolnemi jak krople oliwy oczyma.

Wnet dostrzegł go od stołu Naruszewicz. Uśmiechnął się, nieznacznie, wziął ze stołu puhar z czasów króla Jana i mrugnąwszy powieką ukazał go zakonnikowi. Bernardyn otrząsnął się gwałtownie, strzepnął rękami i zniknął w nagłym popłochu. „Stchórzył, niestety!", z żalem mruknął do Kniaźnina biskup, skinął na stojącego nieopodal służącego i kazał zabrać kielich, „odnieś to, nie będzie już potrzebny"...

— frankmasonerji zasadą jest przyjaźń ludzkości — półgłosem przedkładał Karpińskiemu, poecie-prowincjuszowi, doktór Boeckler, królewski lekarz przyboczny. — Praktyczne czynienie dobra, ulg wszelakich, jest najpierwszym obowiązkiem lóż. Ot, słyszałeś pan może, iż pierwsze tu w Warszawie publiczne, a bezpłatne ospy szczepienie lat temu parę wprowadziła i urządziła sumptem własnym loża „Sarmaty Cnotliwego"...

— no tak, lecz bulle stolicy świętej...

— pomyśl pan, jakież to dobroczynne dzieło: ospy, straszliwej ospy plaga zwyciężona! Wielki dar wieku naszego dla dzisiejszej i przyszłej ludzkości!

— *vraiment*, przyznaję. Lecz papież Benedykt czternasty...

— frankmasonerji zasadą umniejszanie zła i nędzy. Zupy rumfordzkie dla biednych, przyznasz pan również, nie sprzeciwiają się uczuciom chrześcijańskim! Toż samo wsparcia i kwesty dla pogorzelców lub powodzian, *n'est-ce-pas?*

Poeta westchnął i zamyślił się bezradnie.

Pierwszy raz dzisiaj siedział przy czwartkowym stole i czuł się bardzo nieśmiele w świetnem gronie warszawskich znakomitości. Jako wielbiony śpiewak „Filona i Laury" dobrą miał tutaj legitymację; lecz jako przybysz z zapadłej Galicji, odniedawna dopiero w stolicy osiadły, nie zdołał jeszcze otrząsnąć się z partykularnej śniedzi, naiwności, prostoty pojęć i wyobrażeń. Ot, choćby, co się tyczy frankmasonji, o której celach i usposobieniu wymownie objaśnia go medyk królewski... Jakże to zgodzić z tem, co się na prowincji mówi o zdrożnej sekcie wolnych mularzy, o dziwnych praktykach i nabożeństwach lóż, o Belzebubie, pono wywoływanym przez braci z garnków kwaśnego mleka — — ?

— próżno — mówił do króla Wybicki — prawa cywilne choćby najdoskonalsze ogłaszać, jeżeli praw publicznych, jeżeli rządu nie będzie. Próżno pisać, jak się ma obywatel względem obywatela zachować, jeśli moc prawodawcza, słaba i sama chwiejna w swojej konstytucji, tego, co ustanowiła nie ma możności ad executiam przywieść; jeśli nie może, mówię, zaręczyć słabszym poddanym należnego bezpieczeństwa. Rząd taki, raczej do anarchji podobny, oswoi umysły z niesprawiedliwością tak, iż bez wstrętu na nią patrzeć i bez bojaźni ją popełniać będą. Dlatego dawne bezprawia, stworzone w zamieszaniu i gwałtach nierządu feudalnego, nie mogą jak tylko wspólnie z anarchją możnych zginąć, na tej dopiero obalinach może pewna powstać sprawiedliwość!

— justement! — zgodził sie król. — Pamiętam w tej materji dobre zdanie, które gdzieś Sully powiedział. Nieszczęście na was — są słowa tego ministra — dusze małe i okrutne, które utrzymywać się ważycie, jakoby bieda i uciśnienie poddanych lepszym były fundamentem państwa, niźli ich wygoda i wolność. Tak mówił Sully, który z przepaści wyrwał Francję.

— każdy wiadomca dziejów przyklasnąć musi jego słowom! Dawniej na podłej chytrości i oszustwa sztuce budowano zasadę rządzenia. Ambicja z okrucieństwem, łakomstwo z podstępem, były regułą panujących. Wieczna stąd, a zakrwawiona nieprzyjaźń krzewiła się z sąsiady, oddalała się ufność narodu od władców i same przez się niszczały albo upadały państwa. Dzisiejsza światła polityka, mająca w zamierzeniu pomyślność narodów oraz szczęśliwość ludzkości, każe przedsiębrać w tym celu środki, które rozum radzi, a cnota pochwala. Wynajduje się naturalna zasada siły i doskonałości państwa...

— właśnie, panie Wybicki, czytam teraz w pismach Marmontela...

Przerwano jego królewskiej mości.

Służba akurat w małe kieliszki kryształowe rozlewała wino: węgierskie dla gości świeckich, a ciężkie hiszpańskie dla duchownych — gdy z drzwi otwartych kredensowego pokoju wszedł do jadalni Bernardyn. Od progu drobno postąpił kilka kroków i stanął, głęboko zgięty w stronę majestatu, z rękami skrzyżowanemi na piersi, skromny i pełen uniżenia. Tuż za nim kamerlokaj wniósł na tacy ów puhar wielki z czasów króla Jana, twarz biskupa smoleńskiego rozpromieniła się przy stole, wszyscy — najjaśniejszego pana nie wyłączając — obrócili na Bernardyna zaciekawione oczy.

— miłościwy królu nasz! — zagaił mnich orację. — Ty, którego niby Tytusa rzymskiego sole gratior oblicze, a niby macedońskiego Aleksandra pełna generosi i mężnego animuszu dusza... Non sum dignus Domine, ale dozwól zbliżyć się do podnóża majestatu, a tronu, pełnego splendorów cum submissione et devoto animo słudze nikczemnemu, który ściele się u stóp...

Król słuchał, kiwał głową, pobłażliwie uśmiechnięty. Służba tymczasem z kilku butelek lała wino do kielicha.

— bo jako terram Deus hominibus dedit, ptakom powietrze, rybom zaś i wszelkim obywatelom morskim aquam, tak naszej rzeczypospolitej dał Lumen! Lumen, powiadam, w nieprzebranej dał łasce swojej...

Ujął Bernardyn kielich w obie ręce, „Zdrowie królewskie!", zakrzyknął silnym głosem i przytknął do grubych warg naczynie trzykwartowe, po brzegi pełne napoju. Zaczął wlewać płyn ciężki w gardziel, powoli, a równomiernie, jak w głuchą, mroczną kufę.

Wytworni biesiadnicy przyglądali się z podziwem. Znieruchomiała i służba za krzesłami gości. Zrobiła się w jadalni cisza nagła, jak w teatrze —

Stanisław August podniósł do oczu *lorgnon* w złocistej oprawie. Z jakąś szczególną uczynił to powagą. Ujrzał teraz dokładniej twarz mnicha, z puharem zespoloną: grubą i pospolitą. Lekko uniesiona wgórę, zachodziła obrzękiem krwistym, rdzawo-fioletowym, sznurami żył i kropelkami lepkiej wilgoci. Płyn wlewał się spokojnie w mięsistą jamę gardzieli. Pod nawpół przymkniętemi powiekami Bernardyna połyskiwały osłupiałe gałki oczne. Odblask stołowych luster rzucał na tę gargantuiczną maskę dziwne, widziadlane iście refleksy.

— upiór! upiór! — wyszeptał król niedosłyszalnie, wielkie nieruchome ciało w brunatnym habicie stało tu, na jasnym parkiecie posadzki, jak objawiony nagle w żywym śnie przybysz z mrocznego, dawno minionego wieku. Puhar w dłoniach mnicha podnosił się, przechylał coraz wyżej, nabrzmiewało w wysiłku ostatecznym oblicze tęgie, purpurowe — „cokolwiek potomność o Stanisławie orzecze, przy mnie zostanie zasługa, żem saskie pijaństwo z Polski wygnał", przemknęło w myślach królowi. Uśmiechnął się przelotnym, jakby wstydliwym uśmiechem.

*) Fragment powieści.

IGNACY FIK

NIE ZAPOMNIJMY O „BENJAMINKU"

Żadna z książek Irzykowskiego nie prosi się tak o przypomnienie jak właśnie „Benjaminek". I to nie ze względu na Boy'a, który ciągle jest niezlikwidowany, i nie ze względu na Irzykowskiego, którego chciałoby się zatrzymać w kreacji z jego lepszych czasów. Irzykowski atakował Boy'a jako indywidualne zjawisko psychologiczne i kulturalne. Nie widział go w jego środowisku społecznem. Ale Boy jak żaden może pisarz, jest właśnie klasyczną emanacją pewnej klasy i epoki i jako taki spełnia rolę medja, przenoszącego zarzuty na rzecz swego socjalnego zaplecza. Boy nie jest sam, za nim stoi armja, ciągle jeszcze silna, żywa i obfita w królewskich bastardów.

Uaktualnić „Benjaminka", to odpersonalizować go w adresie. Szkoda że nie umiał na to zdobyć się w swoim czasie sam Irzykowski. Dziś mielibyśmy może drugą „Legendę Modej Polski Powojennej". Lepszą od „Legendy" Brzozowskiego o cały szereg takich zalet jak: ostrość widzenia, odpowiedzialność za definicje, dojrzałość intelektualna i brak patosu dydaktycznego.

*

Bez większego sprzeciwu przyjęło się rok 1918, a więc datę odrodzenia państwowego Polski, za datę orjentacyjną także w historji literatury. Oczywiście wojna światowa i odzyskanie niepodległości są to zbyt przełomowe fakty, by nie wywołały daleko idących przeobrażeń w każdej dziedzinie, konsekwencje ich jednak nad odcinku literatury mogły się ujawnić w dość odległej przyszłości. Kilkanaście lat pierwszych niepodległości i twórcami i charakterem związane jest całkowicie z okresem przedwojennym. Toteż jeśli chodzi o rodowód społeczny i charakter ideowy literatury, rok 1918 nie jest datą przełomową. Pod tym względem bardziej decydujący dla literatury był rok 1905.

Rewolucja tego roku uświadomia bowiem rzecz, która w dalszych perspektywach czasu zadecydować miała o zasadniczem przeobrażeniu kultury. Nastąpiło z tą chwilą ideowe przegrupowanie hierarchji klas społecznych wywołane politycznem wystąpieniem chłopa i robotnika. Rodzi się w masach problem kultury ludowej i proletarjackiej, która ma przeciwstawić się kulturze mieszczańskiej, degenerującej i błądzącej po manowcach i ślepych uliczkach. Po tym roku wytwarzają się wyraźnie dwa obozy ideowe. Opozycja przeciw rzeczywistości mieszczańskiej przestaje być wyłącznie anarchicznym buntem i negacją — ale zaczyna wypracowywać własne zręby kulturalne pozytywną wizją innych wartości. Z drugiej strony reakcja przechodzi do równie zdecydowanej walki frontowej przeciw atakom na jej stan posiadania. Wyrazi się to nagłem i hałaśliwem reklamowaniem przez mieszczan uroków życia codziennego i zwykłego człowieka, szukającego ułatwień życiowych, nie zaprzątającego sobie głowy głębokiemi problemami. „Zielony balonik", kabaret, przeciwstawiony rewolucji, nie bez powodu może być uważany za fakt epokowy. Rewolucja bowiem i kabaret miały się stać na potem dwoma źródłami, z których wypłynęły dwa główne prądy, panujące w epoce powojennej, poprzez wojnę i jej skutki jedynie pogłębione i mocniej jeszcze sobie przeciwstawione.

W r. 1905 kończy się dynamika Młodej Polski. Dwa naczelne problemy ideowe: sprawa niepodległości i sprawiedliwości społecznej — zostały myślowo i uczuciowo wyczerpane u Wyspiańskiego i Żeromskiego. W wymiarach panującej rzeczywistości i w ramach mieszczańskiej ideologji dalej tych zagadnień prowadzić się już nie dało.

Rok 1905 jako zjawisko ustalił pewien układ sił partyj i programów, który w zasadzie nie zmienił się do dziś dnia. On wydał ludzi, którzy stali się budowniczymi dzisiejszej rzeczywistości. Piłsudski, Dmowski, Witos czy Daszyński (żeby użyć pewnych symboli), to ludzie z tego właśnie rocznika. Ich bezpośrednie zejście z areny politycznej zacznie dopiero odrębną epokę, której data urodzin wypadnie bodaj właśnie na dzień dzisiejszy.

Akcja Brzozowskiego, która na ten czas wypada, była pewnego rodzaju anachronizmem. Młodej Polski w tym sensie, jaki jej nadaje Brzozowski, wtedy już właściwie nie było. Brzozowski przyszedł więc wywalać drzwi wcześniej wywalone. Do pewnego stopnia przysłużył się mimowoli reakcji, bo pomógł oczyszczać z niedobitków pobojowisko, na którem mieli za chwilę tryumfalnie biwakować pisarze typu Boy'a, Perzyńskiego czy Grzymały-Siedleckiego. Oni też przetrwali wojnę w stanie nienaruszonym, by zdobyć długotrwała hegemonję nad literaturą niepodległej Polski. Złudzeniem jest bowiem sądzić, że literatura bezpośrednio po wojnie panująca jest kontynuacja Żeromskiego i Wyspiańskiego. Rocznica śmierci tego ostatniego, pragnąca go nagle zaktualizować i kanonizować na proroka państwowości, przyniosła fiasco. Twórczość Żeromskiego po wojnie została zakrzyczana i zafałszowana, dość wspomnieć „Przedwiośnie". Jedynie literatura chłopska i proletarjacka mogła być, historycznie rzecz biorąc, kontynuacją punktów wyjścia tych dwóch pisarzy. Ale ta zaczyna rosnąć dopiero w wiele lat później.

Odzyskanie własnego państwa sprawiło tylko jedno: wywróciło parawany z malowanych frazesów patrjotycznych, których zadaniem było mylić pozorem jedności narodowej rzeczywistą sytuację społeczną. Teraz mogła już obowiązywać otwartość, bo w własnem państwie niepotrzebna już była wspólność ideowa jako hasło. Mogły ukazać się teraz jasno przeciwieństwa społeczne. Nie tylko mogły, ale musiały w chwili kiedy po odzyskaniu niepodległości trzeba się było zabrać do budowy państwa. Musi się przyznać, że mieszczaństwo potrafiło ocalić swą pozycję i swój ustrój, owszem nawet na swym „własnym śmietniku" poczuło się silniejsze i pewniejsze siebie. Oburzanie się na literaturę powojenną, że zdradziła ideał narodowy, jest oburzaniem się, że zdjęła niepotrzebną już maskę narodowej obłudy i zaczęła być szczera. Szczera czyli klasowa, bo taka była zresztą zawsze, choć przedtem w sposób maskowany. Wstydliwe dawniej tendencje mieszczańskie mogły być teraz głoszone z otwartą przyłbicą i tupetem. Wódz nowego pokolenia mieszczańskiego Kaden Bandrowski woła śmiało, że teraz trzeba „szukać prawdy przeciętnego nieznanego człowieka". Wychwala „patos codziennej prostoty" i wzywa do „odczucia nieśmiertelnego trwania w powszednich znikomościach chwili". To samo wcześniej mówili i praktykowali Perzyński i Grzymała-Siedlecki. Twierdzenie Siedleckiego, że „trzeba uznać zło dnia dzisiejszego", wystąpić przeciw herosom i zadowolić się człowiekiem szarym, zostało dosłownie powtórzone przez Kadena. Ten „człowiek szary", chemicznie wyprany z heroizmu, to mieszczanin, któremu chodzi tylko o to, by przystosować się do zmieniającej sytuacji, nie zmieniając jednak ani siebie ani świata. Na wewnątrz wytyczna stanie się zasada „życia ułatwionego", propagowana przez Boy'a, a kontynuowana również przez Bandrowskiego. Zniknęła zmora udawania patrjotów, którzy palą się do walki o niepodległość. Walczyła o nią garstka bohaterów, Barczów, teraz pozostają tylko Pycie, inżynierowie meljoracji: „Żeby za lat dziesięć, dwadzieścia, z każdą chwilą — było coraz łatwiej" („Generał Barcz").

Peany na cześć życia i radosne padanie w ramiona teraźniejszości, a więc postawa życiowa najszczerszych poetów mieszczańskich — „skamandrytów", — były reakcją nie na odzyskanie niepodległości, ale wyrazem ulgi, że już nie trzeba udawać cnotliwszych i poważniejszych, niż się jest. Ton ten znalazł entuzjastyczny oddźwięk wśród całego mieszczaństwa, toteż nigdy ani przedtem ani potem poezja nie była tak popularna, jak za czasów młodego Tuwima i Wierzyńskiego, kpiących na całą gębę z wszelkich usankcjonowanych tradycyj. Zuchwała otwartość, trywjalna ekspresja, płytka filozofja i słownictwo codziennego życia uczyniły tę poezję bliską mieszczaństwu.

Jeśli więc chodzi o rodowód ideowy, współczesna literatura mieszczańska da się wyprowadzić z tradycyj przedwojennych. Związki z przeszłością przeważają nad efektami przeciwstawienia się jej nowemi pozytywnemi walorami. Wyrazem tego są pisarze łączności, zasiadający całą grupą w Polskiej Akademji Literatury, a zwłaszcza Boy-Żeleński. Znaczenie i wpływy jego na kształtowanie rzeczywistości literackiej są większe niż się zdaje, mimo że on sam literatem w ścisłem tego słowa znaczeniu nie jest. On pracuje na peryferjach literatury, jakby na jej tyłach, gdzieś w wywiadzie, sztabie czy intendanturze. Toteż na jego głowie spoczywają najważniejsze sprawy i on za nie czuje się odpowiedzialny, on — szara eminencja kultury mieszczańskiej. Dwie zasługi Boy'a wobec tej kultury mają charakter historyczny. Boy przetłumaczył najlepsze rzeczy z mieszczańskiej literatury francuskiej, czyniąc w ten sposób z mieszczanina polskiego konsumenta pięknych tradycyj liberalistycznej kultury europejskiej i dając mu niezasłużone poczucie współuczestnictwa w jej budowie. Po wtóre Boy'owi, jemu jedynie skutecznie, udało się doprowadzić do przymierza między życiem a literaturą. On zlikwidował rozdział między temi dwiema rzeczywistościami, rozdział, który panował za Młodej Polski. Zrobił to, rozgrzeszywszy mieszczaństwo z winy, do jakiej się poczuwało, że nie może żyć na konturach, na których widzieć je chcieli Żeromscy. Z różnych możliwości zbratania życia z sztuką najgenjalniejsza była myśl Boy'a: uznać to życie i podporządkować mu sztukę.

W redakcji Boy'a wszystkie problemy spospolicialy i rozmieniły się na bilon codziennych spraw życia, które chce być coraz wygodniejsze, łatwiejsze i przyjemniejsze. Naczelne miejsce zajęły teraz kwestje obyczajowe, a zwłaszcza seksualne. Idea życia ułatwionego stała się kierownicza ideą. Oczywiście, życie trzeba ułatwiać w szeregu spraw, żeby całą niepotrzebnie więzioną energję móc skierować na sprawy ważniejsze i trudniejsze. Boy tych spraw trudniejszych nie widzi lub je całkiem lekceważy. Według niego każdy ustrój jest doskonały pod warunkiem, że nie zawraca się ludziom głowy wielkiemi ideałami i nie utrudnia im się życia krępującemi przepisami. Dyktatura Boy'a nie jest zagadnieniem zjawienia się sprytnego uzurpatora i szczęściarza-Benjaminka, ale zagadnieniem panowania pewnej kultury. Toteż jest daremnym wysiłkiem zwalczać Boy'a jako problem, stojąc równocześnie na założeniach tej kultury. W tym wypadku właśnie Boy będzie miał zawsze rację! Będzie miał bowiem za sobą swą rzeczywistość.

Boy i Irzykowski stoją na tym samym poziomie przynależności społecznej i czasowej, dlatego też Irzykowski nie jest zdolny do ujęcia problemu Boy'a w właściwych wymiarach. On widzi tylko figurę, tymczasem trzeba spojrzeć zdalska i objąć wzrokiem także cały cokół, na którym postać została umieszczona. Kontury zjawiska przyjmą wtedy inne proporcje. Nieporozumieniem stanie się zdefinjowanie Boy'a, jako „minjatury Przybyszewskiego". Boy wcale bowiem nie jest po stronie Przybyszewskiego, lecz właśnie po przeciwnej: po stronie „mydlków". To raz. A po drugie: on wcale nie jest minjaturą. Ważnością historyczną przerasta Przybyszewskiego stokrotnie. Irzykowski nie potrafi również przekonać, że Boy jest obłudny. Jest obłudny w drobiazgach, taktyce, w zasadniczej jednak swej postawie — nie! Boy jest konsekwentniejszy, niżli jego wrogowie, którzy chcą z niego zrobić głupka.

Po wojnie, która niczego nie skończyła, owszem, wzmocniła falę „boizmu", sam Boy powojenny mógł pójść na całego. Tem bardziej, że został wsparty sukursem sił nowych i młodych. Co charakterystyczne: sytuacja powojenna przyniosła i odmiany wtórne: boczne wiry dekadenckich buntów i marginesów. Na anarchizmie Zegadłowicz-Gombrowicz obserwujemy renesans przekornego ducha cyganerji, wyrosłej z tradycji Przybyszewskiego. W tym układzie sił znajduje się miejsce Irzykowskiego — klerka.

*

Atakując Boy'a, Irzykowski musiał z konieczności postawić diagnozę i spraw szerszych. Zaatakowany został tem samem

---

Bernardyn odjął puhar od ust, odetchnął głęboko.

— pugna suum finem, cum iacet hostis, habet! — powiedział cicho, unosząc powieki, i oddał naczynie służącemu.

— consumatum est! — zawołał, śmiejąc się któryś z biesiadników.

— teraz dopiero wyznać muszę waszej królewskiej mości, — odezwał się z uciechą Naruszewicz — iż w niemałym byłem strachu, bo zrazu, kiedym przez drzwi księdzu ten kielich ukazał, ulękł się sługa boży i pierzchnął z pokojów. Kazałem sprzątnąć naczynie, ze wstydem myśląc o zawodzie, jaki sprawię... A tymczasem... — biskup smoleński zwrócił się do Bernardyna — Powiedzże nam, księże, czemuś mi się przedtem tak nastrachał?

Mnich uśmiechnął się dobrodusznie.

— miłościwy panie! — wyjaśnił, zwracając się do króla. — Nie tylko słowem bożem, sed etiam cibo człowiek żyje! Niechaj to będzie Panu Bogu niewymowno, ale — po pierwsze: głodny byłem jeszcze podówczas, a powtóre: nie ufając sobie, spróbowałem się z tym kielichem przed furtą, zanim przed wielki ołtarz stanąć się ośmieliłem.

— co? więc to już drugi?

— dopiero drugi, miłościwy panie!

— skromnie skrzyżował ręce na piersiach Bernardyn. Skłonił się głęboko królowi, potem osobno biskupowi smoleńskiemu, wreszcie całemu stołowi — i drobnym krokiem wyszedł z jadalni, pogodny „servus Dei", cichy i pokornego serca.

W pół godziny później — zwykły serkl poobiedni w jednym z przyległych gabinetów — szli uczeńce i literaci krążyli po parkiecie w grupkach i konstelacjach, haftując miłe chwile mądremi rozmówkami i dowcipem. Nie było dziś warunków dla kolegjalnej, ogólnej dysputy. Król bowiem zaraz po rozpoczęciu serklu zajawszy miejsce w jednym z wygodnych fotelów pod oknem przywołał ku sobie Wybickiego i wdał się z nim w niegłośną, osobną rozmowę: kontynuowali materję przy stole poruszoną, ale już *in concreto*, w rzeczy samej, która dziś umysł monarchy żywiej, niż inne nurtowała.

— Gröll nie upora się z drukiem wcześniej, jak na końcu sierpnia?

— o tem mogę waszą królewską mość śmiało zapewnić. Odwiedzam imprymerję dwa razy w tygodniu, lecz zanadto roboty nie nagle...

— *bien!*

— rzecz nie wyjdzie spod pras wcześniej, zanim sejmiki po województwach nie będą odbyte. Chociaż...

Wybicki zawahał się. Król spojrzał na niego pytająco.

— dokończ pan, co masz na myśli?

— chciałem powiedzieć, że na uformowanie się opinji, przeciwnej dziełu reformy, zawsze niestety czasu starczy...

— im mniej go damy, tem lepiej! — Stanisław August nerwowo zastukał palcami w złocone poręcze fotela. Cierpki grymas udręki zakłóci nagle gładką twarz monarchy. — *Mon Dieu!* A przecież przykre to, panie Wybicki...

— słucham waszej królewskiej mości.

— przykre, powiadam, gdy głowa państwa nieledwie spiskiem prowadzić musi zrazu dzieło tyle pożyteczne, dla dobra kraju podjęte. Och, *quel ridicule vexant*, mój Wybicki, cóż za nieznośną czasem widzę śmieszność tej konspiracji — przed kimże? przed kim właściwie?

Pytanie padło niegłośne, stłumione, jak wyrzut bez adresu. Wybicki z szacunkiem schylił głowę. Milczeli obaj przez chwilę. Zmrużonemi oczyma krótkowidza zapatrzył się Stanisław August w swój portret, pędzla Bacciarellego, wiszący na przeciwległej ścianie gabinetu, nad chłodnym kominkiem marmurowym.

Wgłębi swobodnie a dyskretnie krążą wciąż po parkiecie konstelacje układnych *beaux-esprits*: biskup smoleński z Kniaźninem, Bohomolec wodzi pod ramię Zabłockiego, ksiądz Wyrwicz i Karpiński w dysputę cichej z doktorem Boecklerem, Trembecki... Przyjemni, najmilsi z ludzi... Nawet pocieszny rymopis Bielawski, skromnie na boku gwarzący ze Smuglewiczem — cóż on tam za nowy poemat jak laurkę zwinięty trzyma sztywno w palcach lewej ręki, królewskiego czekając na lekturę przyzwolenia?

— jak myślisz, panie Wybicki, od kogo najmocniejszej spodziewać się mamy opozycji?

— trudno przewidzieć, wasza królewska mości. Nie wątpię, że postanowienia o chłopach wszystka prawie szlachtę źle usposobią dla nowego praw zbioru...

— „Familja"? — westchnął król.

— zapewne! Książę marszałek nie poniecha takiej przeciw zamkowi okazji!

— duchowieństwo?

— zapewne!

— tedy powiedzże, mój Wybicki, na kogo liczyć zostaje?

— twojej, najjaśniejszy panie, dobrej gwieździe zaufać musimy! Uwiło już przeznaczenie wieniec wiecznej dla Stanisława Augusta chwały i w ten dzień go uwieńczy, w którym wasza królewska mość mężnie przed sejmem w obronie nowego praw kodeksu stanie!

Król uśmiechnął się z zakłopotaniem. Przywykły do pochlebstw, znał się na nich i czuł w tej chwili nieomylnie, że słowa młodego jurysty nie były zwykłą grandilokwencją dworaka. Brzmiała w nich żarliwa wiara, głos wewnętrzny.

— pan byłeś na studjach w Holandji, *n'est-ce-pas?* — padło z monarszych ust niespodziewane pytanie.

— w Lejdzie, wasza królewska mości — odparł Wybicki, cokolwiek zdziwiony.

— a Holendrowie podobno trzeźwy naród...

— chce wasza królewska mość powiedzieć, że nie nauczyli mnie tej cnoty?

— otóż! — Stanisław August roześmiał się, błysnął białemi zębami. — Widzisz pan, cenię sobie wielce to, co pan nazwałeś dobrą gwiazdą moją. Lecz nawet, jeśli ona świeci prawdziwie na niebie tego królestwa, wątpię, czy zdoła przeniknąć blaskiem strop sejmowej sali, gdy się tam będą debatować materje tyle oporne, jak nowy praw kodeks... Lecz à propos: skoro już o tym sejmie mowa — czy nie masz pan zamiaru gdzieśkolwiek w województwie swojem kandydować? Byłoby to, uważam, zewszechmiar wskazane...

Stuknęły drzwi. Wybicki nie zdążył już odpowiedzieć, wszedł kamerdyner z tacą w ręku.

— extrapoczta depesza z Francji, najjaśniejszy panie! — skłonił się przed majestatem. Król z żywością wyciągnął rękę, podjął z tacy opieczętowany papier.

— z Francji? — powiedział cicho, złamał pieczęcie, rozwinął pismo i szybko przebiegł je oczyma. Twarz zmieniła mu się nagle, pobladła i stężała. Papier leciutko drżał w palcach.

Cicho zrobiło się w gabinecie. Czwartkowi goście znieruchomieli odrazu, zawiesili u warg królewskich spojrzenia pytające, zaciekawione.

Stanisław August powoli dźwignął się z fotela. Poważny, wyprostowany cokolwiek uroczyście, wzrokiem pełnym jawnego wzruszenia po wszystkich kolejno przeszedł twarzach.

— panowie! Monsieur de Voltaire rozstał się ze światem!

Padły te słowa — miękko, tkliwie nieomal wyrzeczone — i nawisły w ciepłem powietrzu gabinetu smugą śmiertelnego cienia. Gdzież w Polsce, na jakiej czulszej wadze mógł być lepiej ważony ich sens żałobnie dotkliwy, jeśli nie tutaj właśnie, w wybornem gronie czwartkowych gości króla Stanisława? Monsieur de Voltaire... Któż nad Wisłą lepiej niż oni znał wielkość tego nazwiska? Monsieur de Voltaire — ojciec duchowy swego wieku, człowiek, który zgruchotał przesądy i prawa rozsądku odwojował!

Król nisko, bardzo nisko schylił głowę. Biała, piękna dłoń z papierem rozpostartym w palcach opadła bezwładnie wzdłuż ciała.

W ciszy głębokiej usłyszeli wszyscy głuchy, stłumiony głos biskupa smoleńskiego:

— za dusze światłej pamięci pana Woltera zmówmy Wieczne odpoczywanie...

Leon Kruczkowski

STEFAN WODWICZ

Nacjonalizm i sprawa narodowościowa

Sprawy narodowościowe ponownie wkraczają na najbliższy plan areny dziejowej. Po burzliwym okresie rozwiązania tych zagadnień na polach wojny światowej i przy zielonych stolikach konferencji pokojowej nastąpił okres pewnego zastoju. W tym czasie tylko jakiś akt terrorystyczny ze strony skrajnych nacjonalistów, jakiś spór przed Ligą Narodów, jakieś procesy sądowe przypominały, że jednak nie wszystko jest w porządku, że Traktat Wersalski nie tylko nie rozwiązał w sposób zadowalający wszystkich dotychczasowych problemów narodowościowych, ale stworzył nowe, przedtem nieistniejące, że groźne konflikty drzemią w głębi europejskiej kotła. Obecnie akcja Hitlera zbierania wszystkich Niemców pod jednym dachem państwowym, a w szczególności rozogniona sprawa sudecka ponownie doprowadziły zagadnienie narodowościowe do stanu otwartego wrzenia.

W szczególności mozaika narodowościowa w Europie Środkowej domaga się wielkim głosem swojego rozwiązania. Pod obstrzałem jest przedewszystkiem Czechosłowacja, ale przykład czechosłowacki powinien być źródłem refleksji dla wszystkich jej sąsiadów, którzy muszą przyznać istnienie zarodków podobnych konfliktów u siebie w domu. Mam tu na myśli w pierwszym rzędzie Polskę, Rumunję, Jugosławję. Narazie w tych krajach panująca doktryna nacjonalistyczna zamyka oczy na istniejące problemy, stara się je pominąć milczeniem lub poprostu siłą wtrącić spowrotem w niebyt. Jak wykazało bogate doświadczenie jest to jednak praca syzyfowa. Oficjalne nieuznawanie zagadnienia narodowościowego, jak wszelkie nieuznawanie faktów, prowadzi tylko do samookłamania się. A metody zamykania oczu na fakty są skuteczne tylko do tego czasu, dopóki istniejące niebezpieczeństwo nie przejdzie z formy potencjonalnej w formę kinetyczną, dopóki nie wyleje się na zewnątrz z siłą lawiny.

Rzecz jednak polega nie tylko na tem, że nacjonalizm, będący panującą doktryną w krajach, o które chodzi, nie chce rozwiązać sprawy narodowościowej. Tragizm sytuacji polega na tem, że obóz nacjonalistyczny, gdyby nawet chciał, nie mógłby znaleźć właściwego i trwałego rozwiązania nasuwających się problemów. Niezdolność do ich rozwiązania jest organiczną cechą całego światopoglądu nacjonalistycznego i korzenie jej możnaby znaleźć w gospodarczych podstawach współczesnego nacjonalizmu. Nacjonalizm może rozwiązać zagadnienie narodowościowe jedynie w sposób pozorny, przyczem albo obie zainteresowane strony wzajemnie się oszukują, albo też jedna z nich słabsza pada ofiarą własnej naiwności, albo poprostu mamy do czynienia z paktem pewnych wąskich grup, zawartym w imieniu całego narodu bez należytych do tego uprawnień. W tym ostatnim wypadku również obie strony padają ofiarą oszustwa, ale każda w nieco inny sposób. Przedstawiciele narodu potężniejszego, odgrywającego rolę „uciskającego" padają ofiarą szkodliwego złudzenia, że oto skapitulował przed nimi cały naród, dotychczas nastawiony wrogo. Ugodowe grupy mniejszości narodowej, znajdują się w położeniu „narodu uciskanego", zmuszone do lawirowania pomiędzy potężnymi kontrahentami a masami własnego narodu, na każdym kroku muszą manewrować i operować fałszem. Zmuszone są wmawiać własnemu narodowi, że ugoda oznacza dlań istotne korzyści i skolei wmawiać swym kontrahentom, że naród idzie na ugodę. Ten podwójny łańcuch fałszu (przytem obojętne jest, w jakim stopniu wchodzi w grę samooszukiwanie się) rozprzęga się zwykle przy pierwszej poważniejszej próbie. Ostateczny cios może być zadany ugodzie z różnych stron. Albo naród, mający dość siły, aby wykazać swą wolę, odpycha od siebie ugodowców, odsłania ich bezsilność i brak wszelkiej bazy masowej. W tym wypadku grupy ugodowe przestają być pożądanymi kontrahentami, tracą swe znaczenie i jako bezwartościowe zostają odrzucone również przez nacjonalizm panujący. Albo też grupy te zachowują dość uczciwości lub sprytu, aby w porę, nie mogąc pogodzić narastających sprzeczności, wycofać się z ugody i w ten sposób zachować przynajmniej część dawnego znaczenia politycznego kosztem ściągnięcia na siebie prześladowań panującego nacjonalizmu. W takim czy innym wypadku koniec ugody pomiędzy dwoma nacjonalizmami: panującym i nie posiadającym własnego państwa — musi być zawsze żałosny.

Najwięcej błyskotliwych pozorów powodzenia zdają się mieć umowy pomiędzy dwoma nacjonalizmami, z których każdy posiada własne państwo, a pomiędzy któremi istnieje konflikt narodowościowy. Umowy takie zawierane są zwykle w imię poświęcenia doraźnych interesów narodowych doraźnym interesom państwowym. Doraźnym interesem narodowym jest w tym wypadku los własnej mniejszości narodowej na terytorjum kontrahenta, lub też odwrotnie nieustępliwe stanowisko wobec danej mniejszości narodowej na własnem terytorjum, które zostaje poświęcone. „Interesem państwowym" jest zazwyczaj jakiś wspólny plan imperjalistyczny. Gdybyśmy nawet założyli, że obie strony wkładają maximum dobrej woli w dochowanie warunków umowy i rezygnują z wzajemnego oszukiwania się, umowa taka może być jedynie nietrwała, gdyż po zrealizowaniu wspólnych zamierzeń, albo też gdy natrafiają one na nieprzewidziane trudności, musi ulec załamaniu. Gdy bowiem imperjalistyczne dążenia pewnego nacjonalizmu, zwłaszcza typu dynamicznego, faszystowskiego, zostają zahamowane w jednym kierunku, muszą się z natury rzeczy zwrócić w innym i tym kierunkiem nie najrzadziej będzie właśnie terytorjum sąsiada, z którym zawarto niedawno układ o wzajemnem poszanowaniu uprawnień do rozwoju narodowego.

Dzieje ugody polsko-ukraińskiej, cichych paktów z ugodowemi grupami Białorusinów lub porozumienia polsko-niemieckiego dostarczyłyby zapewne wiele materjału ilustracyjnego dla tych rozważań.

Nacjonalizm jest organicznie niezdolny do rozwiązania sprawy narodowościowej. Niesłuszne jest bowiem, jak to np. czyni Ksawery Pruszyński w „Wiadomościach Literackich", doszukiwanie się zasady nacjonalistycznej w idei Wilsona samostanowienia narodów. Nacjonalizm wojujący żongluje tylko tą ideą tam, gdzie ona może przyczynić się do wzmożenia własnej potęgi i neguje ją w stosunku do innych narodów. Niektórzy publicyści konserwatywni w Polsce przeprowadzają linję demarkacyjną pomiędzy imperjalizmem a nacjonalizmem, zarzucając nacjonalizmowi dawnej „narodowej demokracji" pewnego rodzaju impotencję w zakresie dążeń imperjalistycznych. To rozgraniczanie polega na nieporozumieniu, jeśli nie na świadomem fałszowaniu rzeczywistości. Każdy nacjonalizm jest imperjalistyczny, przynajmniej w zarodku. Przedwojenny nacjonalizm Dmowskiego był tak samo imperjalistyczny, jak i obecny imperjalizm kresowych żubrów. Tylko że nacjonalizm Dmowskiego, związany z imperjalizmem rosyjskim, wyznaczał polskiemu imperjalizmowi na podstawie ugody z caratem zachodni i północny (Prusy Wschodnie) kierunek ekspansji, gdy imperjalizm kresowych żubrów zwraca się w pierwszym rzędzie na wschód, a częściowo i w kierunku Litwy z widokami na odzyskanie dawnych ziemiańskich majątków.

Centralnym punktem doktryny nacjonalistycznej jest uznanie walki narodów za oś dziejów, tak jak doktryna socjalistyczna uważa za główną sprężynę dziejów walkę klasową. Nacjonaliści chętnie zarzucają ruchowi socjalistycznemu i innym ruchom klasowym (np. chłopskim) sianie nienawiści klasowej. Zapominają jednak, że socjalizm, uznając walkę klas za motor dziejów i próbując ująć ją w pewne uregulowane łożysko, jednocześnie przynosi ideę końca tej walki i nienawiści, ideę społeczeństwa bezklasowego. Nacjonalizm natomiast, siejąc naprawdę nienawiść pomiędzy narodami, nieuzasadnioną objektywnemi warunkami ich położenia, lecz rodzącą się na podłożu dążeń panujących grup społecznych do rozszerzenia sfery własnej eksploatacji, jednocześnie bynajmniej nie otwiera żadnej perspektywy na zakończenie walki. Jedyną perspektywą nacjonalizmów pozostaje wieczna wojna i wieczna nienawiść narodów.

Jedynym stanem, któryby z punktu widzenia doktryny nacjonalistycznej mógł położyć kres dążeniom imperjalistycznym, byłoby imperjum światowe, w którem dany naród panowałby niepodzielnie. Taki jest logiczny kres dążeń nacjonalistycznych, wziętych immanentnie, zupełnie niezależnie od podłoża społeczno-gospodarczego, na którem powstają.

Nacjonalizm bowiem nawet w niewoli rozpycha się wśród innych narodów, nie uznaje ich prawa do samodzielnego bytu, kwestjonuje ich aspiracje terytorjalne, wysuwa sam przesadne roszczenia, co mu jednocześnie najczęściej nie przeszkadza zawierać ugody z zaborczym imperjalizmem. Gdy nacjonalizm ma własne państwo, zbyt ciasne w stosunku do terytorjum etnograficznego, żeruje na propagandzie rewizjonistycznej. Gdy, przeciwnie, ma państwo o granicach szerszych, obejmujących mniejszości narodowe, chce się czuć „gospodarzem we własnym kraju" i utrudnia życie innym narodowościom. Na tem się jednak nie kończy. Skoro tylko objektywne warunki wytworzą odpowiednie bodźce, a nieraz nawet i na kredyt, nacjonalizm rozwija odpowiednią propagandę w kierunku rozciągnięcia dachu państwowego nad głowami wszystkich rodaków, mieszkających zagranicą. W miarę postępu polityki imperjalistycznej kryterja ilościowe mogą się zmieniać, a ponieważ w każdym zapadłym kącie świata znajdzie się rodak, a jeśli go tam niema, można go przecież celowo uprzednio wysłać, — w ten sposób każda idea nacjonalistyczna ma w zasadzie nieograniczone możliwości przystosowania się do potrzeb imperjalistycznych. Oczywiście, pomijam tutaj inne argumenty ideologiczne, któremi szermuje imperjalizm dla swych celów, jak np. misja cywilizacyjna, potrzeba terenów ekspansji wobec przeludnienia kraju, idee panazjatyckie, pangermańskie i t. p.

Często nacjonalizm bywa mieszany z ruchem narodowo-wolnościowym narodów uciskanych. Są to jednak pojęcia absolutnie niewspółmierne i często nawet sprzeczne. Coprawda zdarza się, że elementy niepodległościowe po uzyskaniu własnego państwa odbywają ewolucję w kierunku nacjonalistycznym. Przykładów nie trzeba szukać daleko. Coprawda elementy nacjonalistyczne mogą brać udział w walce niepodległościowej, ale tę walkę raczej paraliżują i kompromitują. Idea samostanowienia narodów, która jest najwyższym dotychczasowym wyrazem myśli demokratycznej w zakresie sprawy narodowościowej, stanowi zarazem cel walki niepodległościowej. W walce o urzeczywistnienie tej zasady narody wspierały się wzajemnie i były popierane przez demokrację tych państw nawet, przeciw których przewadze ta walka była wymierzona. Dalszą nadbudową tego demokratycznego rozwiązania sprawy narodowościowej może być tylko idea porozumienia, idea dobrowolnej federacji z początku pomiędzy narodami, mającemi pewne wspólne cechy, później powszechniejszej. Natomiast jedynem rozwinięciem idei samostanowienia narodu przez nacjonalizm jest idea imperjalistyczna, będąca jaskrawem zaprzeczeniem pierwszej.

Organiczna niezdolność nacjonalizmu do rozwiązania sprawy narodowościowej w jaskrawy sposób występuje na terenie polskim. Wszystkie programy narodowościowe różnych odłamów polskich nacjonalistów sprowadzają się do koncepcyj, które świadczą o ich wadliwości z urodzenia. Nie mówię już o koncepcjach, opartych na dążeniu do asymilacji narodowej. W koncepcjach tych brak wszelkiej myśli twórczej. Terror i represje to jedyne narzędzia ich realizacji, narzędzia obosieczne. Ale nawet ci nacjonaliści, który poszukują rozwiązania mądrzejszego, nie wiele mogą wymyśleć. Jedni chcieliby rozwiązać nasze sprawy narodowościowe poza granicami państwa polskiego. Nieszczerość, a raczej może przeciwnie — cynizm takiego rozwiązania dyskwalifikuje je zgóry w oczach zainteresowanych. Inni radzą stosować polityczną „divide et impera", dzielenia różnych mniejszości narodowych i popierania mniej zaawansowanych w swym rozwoju celem podżegania ich przeciw bardziej zaawansowanym. Typowe jest tu stanowisko stańczykowsko-zachowawczej „Naszej Przyszłości" (nr. 58), która radzi zaniechać wszelkich eksperymentów z Ukraińcami a natomiast podtrzymywać to wszystko, co chce się nazywać ruskiem i białoruskiem. „Nasza Przyszłość", świadomie czy nieświadomie, rzuciła tu myśl zaczerpniętą ze skarbnicy ideowo-politycznej nieboszczki monarchji habsburskiej, trzeba przyznać — wzór niezachęcający.

Inny program, reprezentowany np. przez „Wieś Polską" (nr. 11), usiłuje sprowadzić zagadnienie narodowościowe, przynajmniej jeśli chodzi o sprawę białoruską, do ram problemu regjonalnego i obiecuje poszanowanie kulturze ludowej białoruskiej w granicach kultury ogólno-narodowej. Ten program oparty jest na błędnej wierze w możliwość uśpienia czujności narodowej zainteresowanych. Błąd polega na niedocenianiu obecnego stanu świadomości narodowej Białorusinów i na niedocenianiu tych objektywnych różnic, które istnieją pomiędzy Białorusinami a poszczególnemi szczepami regjonalnemi ludu polskiego i które czynią z Białorusinów odrębny naród. Zresztą głosy prasy białoruskiej w odpowiedzi na tę propozycję powinny rozwiać złudzenia jej autorów. Mała próba sprowadzenia zagadnienia białoruskiego i litewskiego do ram regjonalnych została zresztą dokonana w praktyce przez urząd wojewódzki wileński bez powodzenia. Jak donosi białoruski kwartalnik literacki „Kałosie" za II kwartał b. r., wojewoda wileński zaproponował dyrektorowi muzeum białoruskiego Łuckiewiczowi włączenie tego muzeum do projektowanego muzeum regjonalnego. Podobny „glajchszaltung" miano przeprowadzić w stosunku do zbiorów Litewskiego Towarzystwa Naukowego. Z propozycją połączono obietnicę dobrze wynagradzanego stanowiska dyrektora muzeum. Propozycja spotkała się z odmową, mimo że Łuckiewicz należy do dawnej ugodowej grupy białoruskiej. Ten i temu podobne fakty świadczą, że nacjonalizm cierpi na uniwersalną niemoc w sprawach narodowościowych. Po niepowodzeniu takiej czy innej koncepcji polityka nacjonalistyczna powraca zazwyczaj do tradycyjnej taktyki przymusowej asymilacji.

Sprawę narodowościową na terytorjum polskiem może rozwiązać tylko demokracja polska w porozumieniu z demokracją ukraińską, białoruską i litewską, tak jak demokracja czechosłowacka rozwiąże ją u siebie. Rozwiązanie to wymaga dużo dalekowzroczności, dobrej woli i inteligencji. Sprawy narodowościowe na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej są nadzwyczaj skomplikowane. Główne narodowości reprezentowane tu (Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini i Żydzi) nie zamieszkują na ściśle wyodrębnionych zwartych terytorjach, lecz tworzą liczne wyspy, półwyspy i enklawy. Wśród tych grup rozsiane są jeszcze mniejsze grupy etniczno-wyznaniowe (Karaimi, Tatarzy, Rosjanie prawosławni i staroobrzędowcy, Ormiani, Czesi i Niemcy wołyńscy).

Ale czas najwyższy, aby demokracja polska wystąpiła ze szczegółowym i zarazem dalekosiężnym programem rozwiązania tych zagadnień, obliczonych także na wyrost w kierunku porozumienia z innemi pokrewnemi narodami. Jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że ideowo możemy oprzeć się o najpiękniejsze tradycje myśli politycznej szeregu pokoleń niepodległościowych i tradycje polskiej literatury z okresu jej największego rozkwitu.

W skomplikowanej sytuacji obecnej, zwłaszcza wobec naporu nowej fali odrodzonego imperjalizmu niemieckiego, kiedy okoliczności doprowadzą być może do nowej rozprawy grunwaldzkiej, załatwienie pokojowe wewnętrznych porachunków pomiędzy słowiańskiemi i pokrewnemi ludami Europy Środkowej nabiera szczególnej ważności.

---

i typ kultury. Pozycje zajęte przez Irzykowskiego są wybrane trafnie. Obliczone jednak na skromną partyzantkę pojedynkową, nie posiadając zorganizowanego zaplecza, zbyt przystosowane do działań defensywnych, łatwo mogą być zagrożone. Toteż należałoby je umocnić i przedłużyć w szerszy front. Oprzeć o bazy społeczne, o twórczą wizję nowej kultury, wizję przewidującą nowe realizacje pozytywne. Kampanja wtedy toczyć się będzie nie o osoby i personalja, ale uwyraźni się w perspektywach walki o nowe drogi. Stanie przeciw temu wszystkiemu, co wytworzyło Boy'a i całą atmosferę społeczną, w której on czuje się uzasadniony, ważny i naturalny. Nie będzie wtedy chodziło o poprawę „partacza" (stanowisko klerka), ani o uśmiercenie niemoralnego **enfant terrible** (stanowisko klerykała) — ale o uniemożliwienie socjalne i psychiczne samego zjawiska. Nim dojdzie do takiej zasadniczej przemiany, która jest problemem szerszym niż literacki, na odcinku literatury podjąć i wyzyskać wypadnie wszystkie punkty, które dojrzał i opisał Irzykowski. Nie zapomnijmy o „Benjaminku".

Ignacy Fik

ZYGMUNT JAROSZ

Katolicyzm, nacjonalizm, demokracja

Jan Archita ogłosił w katowickiej „Polonji“ (z dnia 11. VI.) artykuł p. t. „Patrjotyzm“. Ściślejszy tytuł tego artykułu mógłby brzmieć właśnie: „Katolicyzm, nacjonalizm, demokracja“. Warto bliżej zapoznać się z wyłożonemi przez Architę tezami tak ze względu na czasopismo, będące widomym znakiem, że dziennikarstwo polskie może poszczycić się **kilku** doskonałemi pozycjami, jak i ze względu na osobę autora, który jest jednym z ciekawszych i pracowitszych publicystów katolickich młodego pokolenia.

„Na jednym z wieczorów dyskusyjnych Akcji Katolickiej w Warszawie — pisze Archita — padło zdanie, że „Bóg myśli narodami, nie jednostkami“, dobrze wyrażające ducha pewnych prądów, a nie dające się pogodzić z etyką katolicką. Nie dające się pogodzić, ponieważ nie narody, ani jakakolwiek społeczność, ale właśnie jednostka ludzka jest w planie Opatrzności czynnikiem rozstrzygającym. Człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże, on był przedmiotem Odkupienia i on tylko jest przeznoczony do pozadoczesnych, wiecznych celów, podczas kiedy zadania społeczności wyczerpują się w sferze doczesności“.

Ortodoksyjność twierdzeń powyższych nie może wzbudzić wątpliwości w nikim, kto jako tako orjentuje się w katolickiej doktrynie. Stanowią też one decydującą (chociaż mimowolną zapewne) odpowiedź na inny slogan nacjonalistyczny: „Jako jednostka jesteś niczem, jako członek narodu — wszystkiem“. Któż to nie tak dawno przeszczepiał na nasz grunt to efektowne hasło? Nikt inny, jak naczelny ideolog Ozonu, pułkownik Bogusław Miedziński. Ozon klnie się na katolicyzm podobnie jak endecja. Jest jednak mniej doświadczony. Dlatego jego organ musi wysłuchiwać reprymend w rodzaju tej, jakiej udzielił mu niedawno prof. Stroński à propos katolickiego pojmowania stosunku jednostki do państwa. Oporność w przejmowaniu **całości** doktryny (t. j. doktryny niesfałszowanej) stanowi odwieczny grzech pierworodny neofitów.

Ale wróćmy do cennego artykułu Archity. Czytamy:

„Znany tomista francuski, J. Folliet, w swojej książce o etyce życia międzynarodowego, zauważa, że nieumiarkowany nacjonalizm jest największym wrogiem narodu; rzeczywistość uczy, że jest nadto wyrazem niewiary w naród. W praktyce bowiem przyjmuje formę **totalizmu**, ucieka się do najdalej posuniętej pomocy czynnika państwowego, wspólnotę obyczajową, stanowiącą treść narodu, usiłując zastąpić przez wspólnotę prawną. Dodamy, że tak być musi, skoro u władzy jest grupa ludzi, sama sobie przypisująca najlepsze i jedynie słuszne pojęcie ducha i interesów narodu bez jakiegokolwiek udziału twórczego społeczności narodowej. W tym stanie rzeczy pierwotny punkt wyjścia nacjonalizmu: **naród** — zaczyna ustępować miejsca **państwu**, aby przejść wreszcie w jawną **statolatrię**, nową herezję współczesności, potępioną przez Piusa XI w encyklice „Non abbiamo bisogno“.

Wszystko to jest jakby spreparowane... ad usum Ozoni. Analiza nacjonalizmu (słówko „nieumiarkowany“ stanowi tu wyraźnie rodzaj nieobowiązującego „epiteton ornans“), zwłaszcza zaś jego praktycznej realizacji, jest uderzająco słuszna. Dlatego też publicysta katolicki dochodzi do następujących wniosków:

„Jak nieumiarkowany nacjonalizm w totalizmie, tak znowu patrjotyzm w demokracji znajduje najlepsze oparcie... Demokracja polityczna jest tym środkiem, zapomocą którego poczucie wspólnoty narodowej wzrasta w sposób najbardziej owocny, bo **przez zrozumienie odpowiedzialności i obowiązków najszerszych mas wobec ogólnego dobra**. To zaś otwiera przed nią szerokie możliwości takiego rozwiązania zagadnienia ustroju społecznego — do czego demokracja chrześcijańska dąży — aby w nim państwo nie przywłaszczało sobie zadań właściwych inicjatywie społecznej, aby przyszły ustrój nie miał charakteru biurokratycznego i politycznego, przed którym ostrzegają encykliki społeczne i który na przykładzie Włoch obrazują“.

Autor ma w ostatniem zdaniu na myśli zapewne encyklikę „Quadragesimo Anno“. W rok po jej ukazaniu się wyszło w Poznaniu dzieło ks. dr. Antoniego Roszkowskiego p. t. „Korporacjonizm katolicki“. Po dziś dzień jest ono na gruncie polskim niezastąpione. Czytamy na jego stronie 285:

„Wybitny wpływ teoretycznej idei korporacjonizmu katolickiego zaznaczył się przedewszystkiem w ustroju holenderskim, hiszpańskim i luksemburskim, a może nawet i w angielskim, zaś największe różnice panują pomiędzy teoretyczną konstrukcją korporacjonizmu katolickiego a korporacjonizmem faszystowskim, lecz w praktycznem przeprowadzeniu obu konstrukcyj te różnice zacierają się“.

„Głębokie“ różnice teoretyczne, które zacierają się w praktyce! Ks. dr. Roszkowski dodaje jeszcze na str. 291:

„Rozpatrując konstrukcję korporacjonizmu katolickiego i syndykalizmu faszystowskiego z punktu widzenia społecznego, pierwszej przyznalibyśmy wyższość, ale w dziedzinie ekonomicznej obie jednakie sprowadzają skutki“.

Niedarmo ekonomista katolicki używa czasu teraźniejszego, mówiąc o realizacji korporacjonizmu katolickiego: widzi on jego wcielenie w ustroju faszystowskim.

Katolikowi nie wolno powiedzieć: „jako jednostka jestem niczem“. Ale wolno mu — wedle wyboru — być antyfaszystą lub profaszystą? **Praktyczny** podział katolików w tym względzie istnieje ponad wszelką wątpliwość.

Ksiądz Don Sturzo, dziś człowiek 68-letni, przebywający na emigracji w Paryżu, był, jest i pozostanie napewno aż do śmierci nieugiętym wrogiem faszyzmu. Faszyzm bowiem zabił dziecko jego duszy: sławną „Partito Popolare“ (och, jak to przypomina hiszpański — „Frente Popular“, ale uspokójcie się, nie ma z nim nic wspólnego!). Ta wielka partja o zabarwieniu katolickiem i radykalnych tendencjach społecznych, przypominająca nasze Stronnictwo Ludowe, rozwijała się najpomyślniej aż do „rewolucji“ faszystowskiej. Została zmiażdżona brutalną pięścią Mussoliniego. — Czyż omylimy się, twierdząc, że Archita bliższy się księdza Sturzo, niż Mussoliniego, a ks. dr. Roszkowski... „wprost przeciwnie, czyli akurat odwrotnie“?

Oczywiście, wymieniliśmy te nazwiska tylko dla przykładu. Nie łudźmy się zresztą. Znikoma część katolików potrafi się tak ustosunkować do faszyzmu, jak kardynał Innitzer. Ale jeszcze bardziej znikoma umiałaby się zdobyć na potępienie faszyzmu katolickiego, t. zw. „klerofaszyzmu“. Konkretny przykład: dollfussowsko-schuschniggowska Austrja. Pobłogosławiona przez papieża zaraz po swych krwawych narodzinach w lutym 1934 roku, stała się „oczkiem w głowie“ wszystkich katolików. Pierwsza miała zrealizować zasady „Quadragesimo Anno“, a zrealizowała faszyzm... o specjalnej barwie ochronnej (nie zdziwił się tej „realizacji“ zapewne ks. dr. Roszkowski!). Zagrożona w swym bycie niepodległym przez inny faszyzm, nie znalazła dość siły wewnętrznej, aby mu się jakkolwiek oprzeć. Kanclerz Schuschnigg spróbował w najtragiczniejszej chwili dokonać karkołomnej sztuki: podania ręki „marxistowskim“ robotnikom, pokonanym przez swego poprzednika i mistrza. Było zapóźno. Padła „szczęśliwa Austrja“. Bez jednego wystrzału. Haniebnie. Po innitzerowsku. Cóż za przeciwieństwo do „husyckiej“ (i „marxistowskiej“?) Czechosłowacji!

Za czołobitność wysokiego kleru płaci hitleryzm katolikom austrjackim wciąż nowemi razami. Więzieniem wybitnych członków Akcji Katolickiej, gremjalnem rozwiązywaniem stowarzyszeń katolickich, kasowaniem świąt, niszczeniem prasy. Niebywała nauczka! Za czasów „czerwonego Wiednia“ nikomu się nawet nie śniło o podobnych prześladowaniach katolicyzmu. Nasuwa się zasadnicze i proste pytanie: czy katolicy austrjaccy powinni byli ramię w ramię z socjaldemokratycznymi robotnikami bronić się przed agresją hitlerowskiego totalizmu? Ramię w ramię — to znaczy we wspólnym froncie i na równych prawach. Należy przypuszczać, że odpowiednia ankieta, przeprowadzona w tej sprawie wśród katolików, przyniosłaby również krańcowo rozbieżne odpowiedzi. Tak pryska złuda jedności katolickiej wobec wielkich zmagań, wstrząsających globem. Na dzień świąteczny: budujący obraz „zaufania synowskiego“ do papieskiego światopoglądu i doktryny. Na „dzień jak codzień“: rozdarcie i walka, częstokroć bratobójcza, tocząca się wokół najdonioślejszych bytowo spraw konkretnych.

Hiszpanja! Katolicy znajdują sie tam po obu stronach frontu. Nie tylko jeśli chodzi o całe grupy etniczne, jak n. p. baskijska, ale także gdy mowa o czołowych umysłach, widzimy wśród nich obrońców republiki. Ileż to już nazwisk i wypowiedzi katolickich działaczy czy pisarzy hiszpańskich, walczących przeciw najazdowi międzynarodowego faszyzmu na ich ojczyznę, cytowała choćby... nie strojąca się w katolickie pióra część prasy polskiej! Jednakże olbrzymia większość wyższego duchowieństwa na półwyspie iberyjskim stanęła bez zastrzeżeń po stronie rebelji. Charakterystyczne przytem, iż np. w znanym, bardzo obszernym liście biskupów hiszpańskich z 1 lipca ub. r. niema ani jednego powołania się na encykliki papieskie, traktujące o obowiązku posłuszeństwa względem władzy państwowej. Nie są zresztą te dokumenty prawdziwie jednoznaczne, nie reprezentują monolitowej prawdy.

„Wszelka władza pochodzi od Boga“ — cytuje św. Pawła Leon XIII w „Immportale Dei“. Ale w „Libertas praestantissimum“ ten sam papież pomija już słówko: „wszelka“. („Ta tylko władza jest prawdziwa i prawowita, która pochodzi od Boga... Miano prawego rozumu przystoi tylko takiemu, który jest w zgodzie z prawdą i rozumem boskim nie można też nazwać prawdziwem niczego, co stoi w sprzeczności z dobrem najwyższem i niezmiernem, co odwraca lub oddala od Boga wolę ludzką“).

„Nie wolno, istotnie, gardzić władzą prawowitą, ktokolwiekby ją dzierżył, jak nie wolno sprzeciwiać się woli Bożej...“ — czytamy znów w „Immortale Dei“. Wnet jednak znajdujemy „uzupełnienie“ w „Diuturnum“:

„Istnieje jeden tylko słuszny powód do odmowy posłuszeństwa, a mianowicie w wypadku rozkazu jawnie sprzecznego z prawem przyrodzonem lub Boskiem... Albowiem kierownicy, których wola stoi w sprzeczności z wolą i prawami Boga, przekraczają w tem zakres swej władzy i obalają sprawiedliwy porządek; odtąd władza ich traci moc, ponieważ tam, gdzie niema sprawiedliwości, niemasz i władzy“.

Usprawiedliwiając tak niezmiernie ogólnikowo opór władzy („prawo przyrodzone“, „wola Boga“ — jakież tu pole do sprzecznych interpretacyj!), „Diuturnum“ zdaje się wogóle anulować obowiązek posłuszeństwa.

Wielokrotnie potępiali papieże bunt i gwałt, skierowany przeciw władzy legalnej. „Odmowa posłuszeństwa, wskutek posiadania siły liczebnej, w drodze buntu przeciw władzy prawowitej jest zbrodnią obrazy majestatu nie tylko ludzkiego, ale i boskiego“ („Immortale Dei“). „...Katolicy walczą wytrwale i z energją w obronie praw Kościoła, nigdy jednak nie uciekając się do buntu i gwałtu“ (Pius X, „Gravissimo“). Jednakże, jak stwierdza Maritain w „Du régime temporel“, teologowie wypracowali „pod naciskiem okoliczności historycznych“ doktrynę o oporze biernym i zbrojnym przeciw rządowi legalnemu, który bądź stał się tyrańskim, bądź wykazuje słabość w obliczu groźnego niebezpieczeństwa lub t. p. Biskupi hiszpańscy powołali się też w swym liście na św. Tomasza:

„Takie są fakty. Gdy się je zestawi z doktryną świętego Tomasza o prawie do oporu obronnego z użyciem siły... nikt nie może negować, że w momencie, gdy wybuchł konflikt (rebelja — Z. J.) samo istnienie wspólnego dobra — religji, sprawiedliwości, pokoju — było poważnie zagrożone, oraz że ogół autorytetów społecznych i ludzi roztropnych (hommes prudents), którzy stanowią lud w jego naturalnej organizacji i w jego najlepszych elementach, rozumiał niebezpieczeństwo publiczne. Co do trzeciego warunku, którego wymaga Doktór Anielski, t. j. przeświadczenia ludzi roztropnych o prawdopodobieństwie sukcesu, pozostawiamy go sądowi historji: aż dotąd fakty mu nie przeczą“.

Ten przeraźliwie ogólnikowy i niezbyt jasny fragment świadczy tylko, jak trudno było biskupom znaleźć doktrynalne usprawiedliwienie dla rebelji. Wątpliwe jest w nim wszystko: i rzekome zagrożenie „wspólnego dobra“ i kwestja „prawdopodobieństwa sukcesu“ i powołanie się na „autorytety społeczne“ (jakie? wszakże n. p. ogromna większość intelektualistów hiszpańskich dwukrotnie już występowała z manifestami, potępiającemi rebelję!). Pozatem, oczywiście, nietrudno znaleźć u św. Tomasza urywek, wyraźnie przeciwny biskupim sofizmatom. W „De regimine Principum“ Doktór Anielski pisał:

„Niebezpieczne jest dla ludu, gdy obywatele z własnej inicjatywy zwalczają siłą władzę, bowiem ci, którzy tak postępują, sami stają się wkońcu tyranami; ponieważ są to naogół ludzie krnąbrni i źli, którzy przedsiębiorą podobne sprawy“.

Do kogóż zastosować te słowa, jeśli nie do hiszpańskich zawodowców „pronunciamento“?!

Poza dziedziną dogmatyki otwiera się dla katolika olbrzymi teren problematów, które mogą być najróżniej (i zgoła sprzecznie) rozwiązywane. „Ambiguïté“ społecznej doktryny papieskiej jest niewątpliwa. Katolikowi nie wolno wątpić n. p. w Odkupienie czy zmartwychwstanie ciał, ale wolno stanąć z bronią w ręku przeciw własnemu bratu, jeśli ten ma inne przekonania polityczne. Doktryna katolicka nie ogarnia całej rzeczywistości, nie analizuje jej tak, aby mogła wyciągać **jedyne** wnioski z szeregu przesłanek, odnoszących się do jakiegoś konkretu życiowego. Dlaczego tak się dzieje? Przyjrzyjmy się w odpowiedzi, jak nieadekwatność myśli katolickiej w stosunku do rzeczywistości przejawia się odnośnie najważniejszego problemu filozoficznego: pierwotności ducha wobec natury. Ks. dr. Aleksander Żychliński wygłosił na zeszłorocznym Międzynarodowym Kongresie Chrystusa - Króla w Poznaniu referat p. t. „Metafizyka komunizmu a mądrość Chrystusowa“. Zaraz na 4 str. jego broszurowego wydania czytamy:

„Stąd dwie mądrości: jedna z Boga; druga z ziemi. Jedna rzecze: Na początku było Słowo... a przez Nie wszystko się stało; a druga mówi: na początku była materja, a przez nią i z niej wszystko się stało.

Dwie drogi wiedzy i mądrości: droga ducha i droga materji, droga Boża i droga ciała, droga mądrości ducha i droga mądrości ciała“.

Wydaje się nam, jakbyśmy to już gdzieś czytali. Sięgamy po engelsowskiego „Ludwika Feuerbacha“. Rzeczywiście! Tylko nieistotne różnice terminologji:

„Wielkie podstawowe zagadnienie całej filozofji, a zwłaszcza nowożytnej, dotyczy stosunku myśli do bytu, ducha do przyrody... Co jest początkiem bytu: duch czy przyroda? Zależnie od odpowiedzi na to pytanie podzielili się filozofowie na dwa duże obozy. Ci, którzy uznawali pierwotność ducha wobec przyrody, wkońcu więc w jakiejkolwiek postaci stworzenie świata, reprezentowali obóz idealistyczny. Inni, pojmujący przyrodę jako coś pierwotnego, należeli do rozmaitych szkół materjalizmu“.

Jasne? Nadwyraz. I wszystko byłoby pięknie... gdyby ksiądz dr. Żychliński nie zaprzeczył samemu sobie jeszcze na tej samej stronicy:

„Dzieje mądrości ziemskiej toczą się po dwóch błędnych szlakach materjalizmu i idealizmu. Wszystkie błędy i złudzenia, spotykane w dziejach myśli ludzkiej, dadzą się sprowadzić do materjalizmu lub idealizmu“.

Cóż za klasyczny przykład niekonsekwencji i uwikłania się we własnych pojęciach! Wyżej czytamy, że droga mądrości „ziemskiej“, to droga mądrości „ciała“, droga „materji“. A niżej droga ta rozszczepia się — cudownie zaiste! — na dwa przeciwne szlaki: materjalistyczny i idealistyczny. Ugóry położył uczony tomista znak równania między „ziemskiem“ i „materjalistycznem“. Udołu zaś nazwał białe czarnem: „ziemskie“ stało się „idealistycznem“. Także „idealistycznem“, bo nie przestało być jednocześnie — „materjalistycznem“! (Oto, jak **nie** należy — mógłby powiedzieć marxista — rozwiązywać dialektycznych przeciwieństw...).

Ks. dr. Żychliński uważa się zapewne za **realistę**. Ale **realistą** nazywa się również Tadeusz Kotarbiński. Te dwa realizmy są, oczywiście, diametralnie przeciwstawne. Ale oba stosują jeden wybieg: formalnie, zapomocą dowcipnego słówka, maskują swą **realną** treść. Tak próbuje się uciec od konsekwentnie monistycznego światopoglądu. Prof. Kotarbiński **nie chce** się nazwać materjalistą, ks. dr. Żychliński **nie chce** się nazwać idealistą. Boć jasne przecie, że nie będzie błędem treściowym przeprowadzenie równania: Bóg = Duch = Logos = Słowo = Idea. Ks. dr. Żychliński nie tylko nie chce się **nazwać**, ale również wolałby może naprawdę nie **być** idealistą. Sam wyznaczył najpierw dwa szlaki. Potem stworzył **przypuszczenie trzeciego**. Tymczasem... tertium non datur. **I tu jesteśmy u sedna sprawy.** Doktryna katolicka nie jest konsekwentna. Wyraża ona — w ostatniej instancji — umysowość „stanu trzeciego“, (drobno) mieszczaństwa. „Stan trzeci chciałby być czemś...“. Ale nie może. Wprost przeciwnie: rozpada się wciąż bardziej i bardziej na posiadających i nieposiadających. Znamienne zjawiski **polaryzacji**, biegunowego rozpadu jednej warstwy w kierunku dwóch śmiertelnie wrogich wielkości: proletarjatu i kapitału. Ktoś, kto nie chce „uznać“ tego zjawiska, próbuje... wyfrunąć ponad nie. Zdaje mu się, że nie idzie „dołem ku“, tylko „górą ponad“. Zdaje mu się, o ile poprostu — nie udaje. Górą (ale jak?) usiłował płynąć Antoni Słonimski, górą (ale jak?) usiłuje płynąć ks. Żychliński... Wolno każdemu marzyć, póki nie obudzi go twardy szturchaniec rzeczywistości. Takim szturchańcem był wybuch rebelji w Hiszpanji. Zapytujemy poprostu: po której stronie frontu są sympatje n. p. Archity — po stronie Azanji czy po stronie Franco, po stronie Hiszpanów, walczących o swą niepodległość, czy po stronie hiszpańskich kondotjerów międzynarodowego faszyzmu, po stronie ludu, broniącego swej wolności, czy po stronie militarystycznej kliki? Po stronie demokracji, czy po stronie totalizmu? Po stronie hiszpańskiej (i polskiej) „Falangi“, czy po stronie antyfaszystów? Trzeciego wyjścia z sytuacji niema. Karty mobilizacyjne wołają.

Bodaj, czy należy wątpić w wybór Archity. Wszakże katolicy właśnie zdecydowali w roku ubiegłym o zduszeniu dwu europejskich ognisk faszyzmu: w Belgji i w Holandji. Porażki wyborcze Degrelle'a i Musserta mają swoją niezwykle doniosłą wymowę. Tem bardziej, że obaj niedoszli „führerzy“ łasili się, jak mogli, hierarchji kościelnej i opinji katolickiej. Degrelle miał na ustach tego samego „Chrystusa - Króla“, którego „wzywają nadaremnie“ rebeljanci hiszpańscy. Mussert próbował uzyskać audjencję u papieża. W obu wypadkach jednak nie tylko masy katolickie ,lecz i duchowieństwo wszystkich stopni wypowiedziało się przeciw faszystowskim menerom. Znikli też oni — na zawsze zapewne — z politycznego firmamentu.

Czemu swą jedność potrafili katolicy wykazać — jednorazowo przynajmniej — w Belgji i Holandji? Czemu nie mogą jej zrealizować w Hiszpanji? Czemu w jednych krajach mogą ramię w ramię ze wszystkimi demokratami maszerować przeciw faszyzmowi? Czemu w innych tego nie robią? Czemu nie wszędzie uznają, że wspólna walka ogółu demokratów w obronie demokracji jest warunkiem sine qua non demokratyzmu? Wyczerpująca odpowiedź na te i tym podobne pytania przekracza, niestety, ramy tego artykułu. Zresztą czuły słuchacz wiele może w duszy swej dośpiewać.

TADEUSZ HOLLENDER

W NOWEJ PALESTYNIE

„Mamy wspaniałą młodzież“ — powiedział do mnie pewien starszy pan w Tyberjadzie. Starszy sympatyczny pan przebywał w latach swojej młodości w Polsce, ale potem długo mieszkał w Niemczech i zapomniał zupełnie polskiego języka. „Rozumiem jeszcze, ale mówię już bardzo źle“ — powiedział mi wkońcu i porozumiewaliśmy się po niemiecku. Był szpakowaty i dostojny. Pomimo późnego wieku zachował jednak ogromną świeżość i giętkość umysłu i dziecinnie dobre, siwe oczy. Gdyby nie kolonjalny kask, który nosi tutaj ogromna większość ludzi, pracujących pod straszliwem słońcem, gdyby nie bronzowe ręce, wychylające się z krótkich rękawów przewiewnej koszulki, gdyby nie krótkie spodenki koloru khaki, które noszą tu prawie wszyscy ludzie pracujący na wolnem powietrzu, nikt nie domyśliłby się w nim żydowskiego pioniera.

Bo nawet bardzo starzy Żydzi dziecinnieją w tym zalążku odmładzającego się państwa. To nie tylko krótkie, harcerskie spodenki i krótkie rękawki koszulki przydają ludziom tutaj żyjącym chłopięcego wyglądu. Ci ludzie zmieniają się w zetknięciu się z ziemią. Gdzieś podziewa się „żydowski“ esprit i poczucie humoru, żydowski kosmopolityzm, który głównie doprowadza do wściekłości europejskich nacjonalistów. Te cechy zdają się wyparowywać razem z potem ciężkiej pracy. Zostaje prymitywnie wdzięczna prostota umysłu i uśmiech dziecka.

Młodzież Palestyny jest wspaniała. Wspaniała dla tych, którzy cenią w życiu odwagę, samozaparcie się i poświęcenie. Jeżeli odwaga osobista, gotowość poświęcenia własnego szczęścia, umiejętność rezygnacji z własnego życia dla dalekich ideałów przyszłości, których urzeczywistnienia sami nie doczekają się, ale które mają oglądać ich dzieci i wnukowie, jest najwspanialszą cechą ludzką — to młodzież Palestyny należy do jednej z najlepszych młodzieży świata.

Wystarczy zdać sobie z tego sprawę, aby czuć się nagle „starym Chińczykiem“ wśród młodego społeczeństwa. Oto do czego można dojść, kiedy po kilku tysiącach lat zaczyna Żydom parzyć stopy ten sam piasek, który parzył stopy ich praojców.

Miałem zwiedzić kibuc Ejn Szemer, zamieszkały prawie w zupełności przez Żydów z Polski. Dwa były cele mego tam przybycia: jeden to zapoznanie się z życiem kibucu przez pisarza polskiego i drugi — pisarz miał opowiedzieć cośniecoś o życiu literackiem w Polsce, o ruchach kulturalnych, które u nas nurtują, miał wygłosić także trochę wierszy polskich.Miał zaspokoić tęsknotę i ciekawość.

Kibuc Ejn Szemer leży prawie w połowie drogi między Tel-Awiwem a Haifą. Droga biegnie prawie przez cały czas wzdłuż błękitnego morza, bijącego w ciężkich westchnieniach o piaszczyste przeważnie brzegi. W Tel-Awiwie oczekiwał mnie towarzysz Ezra, który, jak się później dowiedziałem, jest sekretarzem jakiegoś związku robotniczego. „To dla nas prawdziwy zaszczyt, że Ezra mieszka w naszym kibucu“ — powiedział mi potem wspaniały chłopak, Kurt z Lublina, mówiący doskonałą i śliczną polszczyzną.

Wyskakujemy z autobusu. Upał nie był już piekielny. Słońce zwisało nad morzem, którego zresztą stąd nie było widać. Piechotą szliśmy zwolna w stronę kibucu.

Z piachów wyrastały osiedla. Laski i gaje eukaliptusów, które Arabowie nazwali „żydowskiem drzewem“, bo sprowadzili je tutaj z Australji Żydzi. Eukaliptusy mają tę właściwość, że wysysają zachłannie z ziemi wszelką wilgoć. One przyczyniły się do osuszenia ogromnych bagien w tej części kraju. Bagien, które dzisiaj należą do przeszłości.

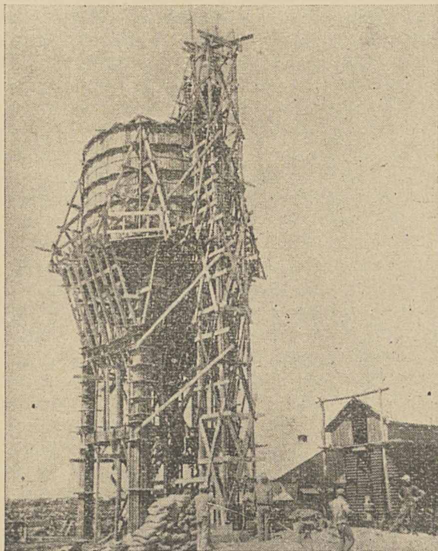
Laski, pomarańczowe gaje, potem gaje cytrusowe: pomarańcz, cytryn i grapefruitów. Ziemia czerwona, bardzo urodzajna. Nie opłaca się zasiewać ją zwykłemi zbożami. Zbyt droga, zbyt wspaniała ziemia.

Na piaskach rosły i wydłużały się nasze cienie. Wśród czystych i jasnych domków Żydów, przybyłych przeważnie z Niemiec i osiadłych tutaj, biegają piękne i wesołe dzieci, przeważnie o jasnych, miękkich włosach i oczach. Krajobraz przypominał późno-letni obrazek z południa Polski. Wysoka kukurydza, moc warzyw. Tylko wyskakujące niekiedy palmy, ludzie w kolonjalnych kaskach korkowych i osiołki uświadamiają, że to Palestyna i Orjent.

Wchodzimy do kibucu pomiędzy dwiema wysokiemi, wspaniałemi palmami. Wieczór, zapadający tu nagle, prawie bez zmierzchu, jest bliski i po obszarze należącym do kibucu przechadzają się ludzie, którzy ukończyli już całodzienną ciężką pracę. Pracę na własnej ziemi.

Przybysza uderza prostota i gościnność. Tak samo poprostu bierze ode mnie towarzysz Ezra neseser i tak samo poprostu oddaje mi go do rąk, kiedy uznaje, że niósł go już dostatecznie długo; tak samo poprostu prowadzi mnie do wspólnej umywalni męskiej kibucu i poprostu, bez cienia zawstydzenia, zaczyna się rozbierać, a potem zupełnie nagi staje pod prysznicem.

Zupełne obnażanie się przed nieznajomymi nie należy do przyjemności. Pamiętam jak przykro zniosłem to przy poborze wojskowym, zwłaszcza przy stole komisji poborowej. Stojąc zupełnie nagi przed odzianymi w mundury i cywilne ubrania mężczyznami, czułem się wtedy przez kilkanaście minut w rzędzie nagusów jak parjas, jak murzyn w kolonjach, stojący przed europejczykiem, jak niewolnik rzymski przed patrycjuszami.



Budowa wieży ciśnień w Ejn Szemer

W długiej, drewnianej hali budynku, stanowiącego wspólną umywalnię męską, przepływa rurami nieustannie świeża woda i tryska z pryszniców. Do hali wchodzą ciągle nowi ludzie, rzucają okiem na nieznajomego, który rozbiera się z wyraźnemi objawami skrępowania, ale wzrok ich nie spoczywa ani na sekundę dłużej, niżby należało. Jest tutaj obcy — stwierdza to spojrzenie, widocznie ma tutaj swoje sprawy.

Rozbierają się szybciej ode mnie, mają o wiele mniej części garderoby niż ja. Krótkie, harcerskie spodenki koloru khaki, błękitną koszulkę, która jest tutaj symbolem przynależności do robotniczej organizacji Histadrut (największej organizacji w Palestynie, liczącej obecnie 104.000 wpisanych członków), wreszcie obuwie i kask kolonjalny. Nic więcej. Niektórzy noszą jeszcze pod koszulą przewiewną, białą koszulkę bez rękawów, która sprawia, że pocenie się jest mniej intensywne.

Jest długi wieczór, zapadający po zmierzchu krótkim jak okamgnienie. Ci ludzie wracają z pracy, z pola, z obór z budynków gospodarskich. Są zmęczeni i spoceni. W czasie mycia się rzucają do siebie krótkie zdania w melodyjnym języku hebrajskim. Obcy mi zupełnie język. Tylko niektóre wyrazy pochodzenia greckiego lub łacińskiego, oznaczające terminy techniczne, których nie było w pierwiastkach tego starego, odmłodzonego teraz nieco sztucznie języka, zabrzmią nagle zrozumiale dla mnie.

Myją się mydłem prostem i zwyczajnem. Uśmiechają się dyskretnie na widok mojego mydła toaletowego w szklanem etui. Poruszają się szybko i zwinnie, stąpając wśród potoków jakże błogosławionej w tym klimacie, zawsze letniej wody. Stukają drewnianemi chodakami po betonowej posadzce.

W zapadającem wieczorze kręcimy się potem wśród zabudowań kibucu. Przystępuje do nas Kurt z Lublina. Wysoki, wysmukły, piękny i bezpośredni. Mówi się o tem i owem. Znał życie literackie Lublina, sam brał w niem kiedyś udział. Zna niektórych z młodych pisarzy. Bardzo lubi Polskę.

Wśród przebywających między zabudowaniami ludźmi widzę mężczyzn umundurowanych i z bronią. Mają czapki przypominające kozackie papachy, bez daszków, uniform jest zrobiony na wzór policji arabskiej. Ci ludzie patrolowali po polach, stanowiąc osłonę pracujących na wypadek niespodziewanego wypadu terrorystów arabskich, którzy mogą zaatakować i w każdej chwili podpalić pardesy, pszenicę, pchnąć nożem, rzucić bombę, jeżeli uda im się podejść bliżej osiedla, a w ostateczności otruć przynajmniej psa. Pokazują w specjalnej zagrodzie olbrzymie i ciężkie boksery, bojowe psy, z któremi obchodzą patrolujący pola kibucu w nocy.

— Tresujemy je specjalnie do walki. Są bardzo silne i niebezpieczne — mówi Kurt. — Ja sam przebierałem się w specjalny strój ochronny i rękawice, poprostu w pancerz, kiedy jednak się na mnie rzucił, powalił mnie na ziemię i ledwie go oderwano.

— Czyby okolica była aż tak niebezpieczna? — pytam.

— Niech pan spojrzy, ot, tam. Widzi pan te domki. Mieszkali tam poprzednio koloniści, Żydzi przybyli z Niemiec. I musieli je opuścić. Nie mogli wytrzymać. Tam dalej leży Nablus, centrum terroru. To góry. Nie wytrzymali. Teraz stacjonuje w tych domkach komenda wojsk angielskich. Jesteśmy tu razem z wojskiem najbardziej eksponowanym posterunkiem. Dlatego niech się pan nie dziwi tym psom ani tym karabinom. Musimy się poprostu bronić. Wytrzymujemy, bo jesteśmy zorganizowani. Tamci Żydzi ustąpili, bo byli zorganizowani gorzej.

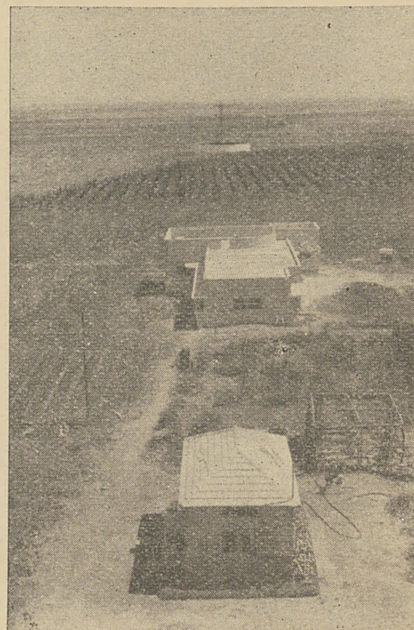
Kibuc nie jest wielki. Mieszka w nim około stu ludzi.

Pokazują wszystko, co tylko jest godne widzenia. Wysokie palmy, stojące u wejścia, pamiątki przeszłości. Stały one jeszcze przed wojną, za czasów tureckich. To osiedle zamieszkiwali kiedyś jacyś żydowscy „kozacy“, o których opowiada Kurt. Owi „kozacy“ zajmowali się przeprowadzaniem karawan i podróżnych i zapewniali im bezpieczeństwo. Kibuc ten jest zatem kibucem z wojennemi tradycjami.

Cechą charakterystyczną gospodarki żydowskiej jest wysoki stan mechanizacji. Ziemia jst trudna do uprawy, oporna, wydzierana i zdobywana z dużym wysiłkiem; jest drogocenna pod każdym względem. Musi wydawać jak najwięcej. A przedewszystkiem jest jej ogromnie mało.

Dlatego jej uprawa musi być postawiona na najwyższym poziomie. Nic nie może być zaniedbane, nic pominięte. Wysiłek ludzki jest także drogi.

Taki kibuc to duży folwark, nie stanowiący jednak własności prywatnej. Dochody, które płyną od czasu, kiedy się kibuc zupełnie zagospodaruje, dzielone są na części i obracane na potrzeby wszystkich członków



Dom dla dzieci w Ejn Szemer

kolektywu. Kiedy są zaspokojone potrzeby najprymitywniejsze, stawia się pierwsze budynki z betonu i buduje się wieże ciśnień.

Jeżeli w przejrzystem powietrzu tej ziemi zamajaczy w oddali wieża ciśnień, można być pewnym, że jest to osiedle żydowskie. Wieża dostarcza owej błogosławionej wody, bez której nie byłoby życia w Palestynie. Deszcze padają tutaj przez kilka miesięcy zimowych, po których następuje okres nieustannej suszy i piekła. Z nieba leje się potokami tylko światło słoneczne, które daje złoto pomarańczom i żółtość cytrynom.

Wtedy na niezmierzone grzędy ogórków, pomidorów, arbuzów, melonów, bakłażanów, wszelkiej ogrodowizny i przebarwnych kwiatów Palestyny tryska woda sztucznego nawodnienia. Tryska z długich rur ośmiometrowemi strumieniami. Samo ciśnienie wody wprawia w ruch mechanizm, który sprawia, że rura obraca się automatycznie w jedną i drugą stronę i promień jej działania wzrasta z ośmiu do szesnastu metrów. Rury te stoją na podstawach jedna za drugą. Na mniejszych połaciach ziemi działają mniejsze rurki wirujące, rozpryskujące wszędzie błogosławioną wodę. Bez niej życie wyschło tu już kiedyś zupełnie.

Kibuc pracuje maszynami. Traktory, kombajny, żniwiarki — maszyny najbardziej nowoczesne, przeważnie amerykańskie. Kiedy wchodzi w łan, maszyna sama tnie zboże, sama zgarnia je i wyrzuca ludziom. Wspaniała, mądra maszyna.

Pierwszym budynkiem stałym, który buduje kibuc, jest oprócz wieży wodnej — budynek dla dzieci. Zbudowany w najbezpieczniejszem, najlepiej osłoniętem miejscu. Dzieci muszą mieć wszystko, choćby w kibucu był niedostatek. Dzieci sa przyszłością Palestyny. Mają piękne sale o dużych oknach, w salach małe stoły, pełno zabawek. Nie widziałem wsród nich ołowianych żołnierzy, blaszanych tanków, samolocików i armatek.

Ciekaw jestem, czy te zabawki zawędrują w przyszłości też do dzieci Palestyny. Czy nie wprowadzą ich choćby ostatnie wypadki, w których dzieci przyzwyczajają się coraz bardziej do uzbrojonych ludzi, do widoku broni i umiejętności obchodzenia się z nią, do cenienia odwagi i bohaterstwa w walce, do przekonania, że śmierć za Palestynę jest śmiercią zaszczytną, od czego już tylko o krok do przekonania, że pozbawienie życia wroga tej ziemi jest także czynem wzniosłym i wielkim.

Dzieci są piękne i wyglądają pod każdym względem doskonale. Te „sabry“, jak nazywa się tutaj dzieci urodzone pod słońcem. Palestyny, są żywe i odważne, chociaż wydają mi się o wiele mniej rozgarnięte i inteligentne od normalnych dzieci żydow-



Młodzież z Niemiec w Palestynie



Dzieci żydowskie w Palestynie

skich z miast polskich. Są prymitywne i chciałoby się powiedzieć — chłopskie.

„Sabra“ to gatunek bardzo tu powszechnego kaktusa o dużych, mięsistych liściach, uzbrojonych w boleśnie wpijające się w skórę i pozostające w niej długo kolce. Kaktusy te rodzą małe, bardzo soczyste, ale równie uzbrojone owoce. Symbol tej nazwy jest przejrzysty.

Wieczór kończy się moim referatem. Opowiadam o polskiej powieści i poezji, o prasie, o ruchu wśród pisarzy demokratycznych. Staram się wpoić przekonanie, że w Polsce nie stoi jednak na rogu każdej ulicy uzbrojony w karabin oenerowiec, strzelający nieustannie do uciekających na wszystkie strony Żydów. Z takiem pojęciem o stosunkach w Polsce spotkałem się tutaj nieraz i usiłuję je obalić jak mogę. Wiem, że słuchają tego nieufnie.

Zgromadzeni w dużej sali ludzie rozsiedli się wokół długich stołów jadalni. Mówię jeszcze kilka wierszy, które pamiętam, potem przechodzę do wierszy satyrycznych. Nastrój robi się trochę cieplejszy. Słuchacze opuszczają bardziej oddalone stoły i kupią się wokół mojego. Przechodzę na ton bardziej osobisty i zaczynam opowiadać anegdoty.

Są spragnieni tych anegdot z Polski. Prawie wszyscy urodzili się w Polsce, niektórzy są tutaj od bardzo niedawnych czasów. Śmiech rozbrzmiewa coraz częściej, coraz bezpośredniej.

Jak naprawdę łatwo, jak bezpośrednio śmieją się ci ludzie. Słońce i wiatry nowej ojczyzny pogrubiły im rysy, ciężka praca sprawiła, że ruchy mężczyzn, a zwłaszcza kobiet, są ciężkie i kanciaste. Przecież to wszyscy prawie młodzi inteligenci, którzy tu schłopieli. Zachowali z intelektualnej przeszłości poczucie nawet bardzo wyostrzonego i trudnego dowcipu, ale śmieją się śmiechem szczerym, pełnym i szerokim.

Nastrój staje się coraz serdeczniejszy. Niektórzy także opowiadają kawały. Chociaż jest już po kolacji, przynoszą i stawiają przede mną rodzaj jakiegoś bardzo lekkiego wina, wyrabianego z odwaru grapefruitów, i ogromną ilość owoców. Są zatroskani. Może jestem głodny, jest późno, może chcę spać.

Dla nich jest to już bardzo późna pora. Na wsi przecież wstaje się bardzo wcześnie To tylko w miastach godzina pierwsza w nocy nie zawsze jest późną godziną.

Kiedy udaję się na spoczynek, stoi nade mną ogromna noc i błyska gwiazdami. Obchodzę jeszcze kibuc. Wiejski folwark zamienił się już w warowny obóz. Brama jest zastawiona zagrodą z kolczastego drutu, na stanowiskach czuwają ludzie z nabitą bronią w ręku.

Z wysokiej wieży stanicy reflektor rzuca długi snop światła i bada okolicę. Z opuszczonej opodal osady niemieckich Żydów błyskają światełka. To komenda angielska porozumiewa się sygnałami Morse‘a z oddziałami stacjonującemi w niebezpiecznych górach.

Jest cicho i daleko. Słychać tylko skomlenie i jakby wycie, pomieszane ze szczekaniem.

— Co to? — pytam zdziwiony.

— Ach, to szakale — odpowiada Ezra.

Egzotyzmowi staje się zadość. Egzotyzmowi i tym czasom, kiedy światło latarni elektryczej oświetlało ukrytą przed śpiącą już rodziną książkę, w której także po nocach słychać było skomlenie szakali, a pod obozy podkradali się Arabowie czy inni uzbrojeni „dzicy“. „Znowu czytasz po nocach“! O, dzieciństwo, w jakich formach i czasach powracasz i stajesz się powagą rzeczywistości.

Szakale, uzbrojeni Arabowie, wojska angielskie porozumiewające się sygnałami świetlnemi, Żydzi z bronią w ręku w obozie, osłoniętym zasiekami. Rzeczywistość jak najbardziej poważna i twarda. A jednak nie mogę się pogodzić z jej powagą. Przecież tak dawno odszedłem od czasów dzieciństwa. To przecież nie muszą być szakale. Równie dobrze to wycie może uchodzić za poszczekiwanie jakichś śmiesznych, zwyczajnych piesków pobliskiej wsi, światło sygnałów angielskich żołnierzy może być mruganiem świateł osiedla, zwyczajnem, najzwyklejszem w świecie. Może tylko ci ludzie bawią się tutaj tak samo jak ja bawiłem się przed laty, za czasów najszczęśliwszego dzieciństwa w wojnę, Indjan i napady, przeżywając niebezpieczeństwa, których nigdy naprawdę nie przeżywałem. Może dlatego chodzą z karabinami, otaczają się zasiekami, operują tym reflektorem na dachu wieży, wymyślają sami przed sobą szakali i Arabów i dekoracyjnie wieszają podzwrotnikową doprawdy moskitjerę nad mojem łóżkiem.

Wszystko wydaje się udane i nieprawdziwe. Przecież oni śmiali się jak śmieją się dzieci. Zdziecinnieli najwyraźniej. Ja sam daję się nabierać jak dziecko. Może jestem w Polsce. Tu wszyscy mówią po polsku. Może to naprawdę nie Azja, nie szakale, tylko jeszcze jedna wielka zabawa i cofnięcie się w czasy dzieciństwa. Z tem poczuciem i jakimś bardzo dziecinnym uśmiechem zasypiam szybko pod moskitjerą, wiedziony w krainę snów skomleniem psów pustyni i błyskami reflektora, który co jakiś czas oświetla drewniane ściany pokoju.

*

Następnego dnia, kiedy ciężarówka kibucu wiozła nas nad piaszczyste brzegi morza, zastanowił mnie tłum ludzi w błękitnych koszulach, maszerujący czwórkami świetną asfaltową szosą.

— Co to? — spytałem znowu Ezry.

— To pogrzeb — odpowiedział. — Wczoraj zabito tutaj o dziesiątej rano żydowskiego robotnika w tym lasku eukaliptusowym, którym szliśmy wczoraj. Zastrzelono go niespodziewanie. A dzisiaj towarzysze odprowadzają ciało i manifestują.

Powiedział spokojnie i zwyczajnie. Ale ja dopiero teraz zrozumiałem, że i szakale i światła reflektora nie były tylko powrotem dzieciństwa. Że były jeszcze jednem przejawem nieznanej mi dotychczas rzeczywistości.

Tadeusz Hollender

NOWOŚCI POETYCKIE

Władysław Sebyła. Obrazy myśli. Warszawa, J. Mortkowicz, 1938; str. 49 i 3 nl.

Trzeci tom Władysława Sebyły zawiera wiersze o typie liryczno-refleksyjnym: „Obrazy pamięci“, „Ojcze nasz“, „Mity i inne“ oraz „Fraszki“. Godna podkreślenia jest konsekwencja tego poety w jego adekwatności z głoszonemi przezeń postulatami krytycznemi. Sebyła, jako krytyk, jest wyznawcą zasady croce‘ańskiej „artifex et philisophus“ i usiłuje ją w swoich wierszach realizować. Cykl wierszy „Obrazy pamięci“, jeżeli chodzi o wizualny sposób przedstawienia i o profetyczny, miejscami, wydźwięk, jest świadomą kontynuacją romantyzmu, przedewszystkiem Słowackiego. Jest to zarówno kontynuacja, jak i swego rodzaju zaprzeczenie. „Nad wodą wielką i czystą. To nie tak się zaczyna. To ma być powieść dla szczurów, dla szczurów, co serce gryzą“ — mówi poeta i oscyluje na przestrzeni całego tomu między granicami refleksyj a poetyckiem pseudonimowaniem pojęć, zahaczającem czasem o mistycyzm. Naczelną rolę w wierszach Sebyły odgrywają czas i wieczność. W pantareicznym biegu epoki szuka poeta „miłości, myśli jasnej i słowa powszedniego“ — „nim się czasy cierpienia ulecą z pogardy“.

Poemat „Ojcze nasz“, poetycka wizja globalna, przypominająca czasem Jastruna, ujęta w formę dyssertacyjną romantycznych, jeżeli chodzi o genealogję, dialogów z „Bogiem, którego niema“, wykazuje pewne pokrewieństwo z inkantacjami Rilkego. Oto poeta nie uznaje ani Boga ani jego królestwa („tam jest królestwo twoich słów — nie twoje“), ale sam tworzy pojęcie boskie, jako własne oparcie metafizyczne a zarazem dominujący w twórczości podmiot liryczny. „Du Nachbar Gott, wir sind allein in Saal“ — pisał Rilke. Mimo podobieństwa wygłosu patetycznego, poematy Sebyły są zakrojone na daleko mniejszą skalę. Rilkowskie przerafinowanie formalne połączone z odkrywczością i rewelacyjną prostotą sformułowań refleksyjnych, postawiło go w rzędzie największych poetów świata. W wierszach Sebyły wyczuwa się wiele słabych punktów: szlachetny ton liryczny często przechodzi w oschłą lirykę refleksyjną, a żarliwość patetyczna w rezonerstwo tem jaskrawsze, że kolidujące ze stanowiskiem Sebyły, jako krytyka. Ale mimo tych usterek, podkreślić należy niewątpliwą dyscyplinę formalną, sporą kulturę poetycką, które składają się na opanowaną, przemyślaną, a przedewszystkiem odpowiedzialną całość.

Witold Mojsiejewicz. Średniowiecze miłości. Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 29 i 3 nlb.

Debjut wierszopisarski Witolda Mojsiejewicza jest o tyle ciekawym fenomenem, że jest zamaskowaną propagandą poetycką troglodytyzmu oraz kultu krwi i ziemi. „Choć oczy czarne róże cielista masz marjo dziewczyno“ — pisze Mojsiejewicz — „mam oczy szeroko otwarte gdy bujnem ciałem idę o prehistorję krwi kraj morza walki namiętny świt śpiewam barbarzyńca wspaniały“. Najdziwniejsze jest jednak, że apoteoza prymitywu światopoglądowego nie pociągnęła za sobą prymitywu formalnego. Przeciwnie. Mojsiewicz jest kontynuatorem, naogół niefortunnym, założeń poetyckich Brzękowskiego. Dziewiętnastoletni, jak to wynika z jego wierszy, poeta wykazuje zadziwiający brak intuicji, jeżeli chodzi o stosowanie metafory i elipsy i należy do rzędu tych poetów naszego najmłodszego narybku poetyckiego, którzy najwyszukańszemi i najniefortunniejszemi chwytami formalnemi usiłują pokryć brak kultury poetyckiej. Nieokiełzany erotyzm, kompleks „piersi“ i „krzepa“ w tych wierszach nie są wiązane określoną kompozycją, będąc bezkrytycznem kopjowaniem Brzękowskiego i surrealistów spod znaku Eluarda. Przykłady niefortunnych metafor: „piękną słomę swych palcy (?) płucząca“, „wiatru smakują niebieski głośnik“. Pozatem ów nieszczęsny kompleks „piersi“: „gleba p i e r s i cielista“, „siedzą zamknięte w jaskrawych kobiecością, jak p i e r s i, chustkach“, „p i e r s i bursztyny małe“, „p i e r s i polarne korale“ i t. d. To wszystko czyni wrażenie raczej niesmaczne, a wynurzenia autora w „programowych“ wierszach podkreślają jego postawę antykulturalną.

Jerzy Kamil Weintraub

Napad, który jest ostrzeżeniem

Ks. Puder mianowany przez władze kościelne rektorem kościoła św. J a c k a w Warszawie, nie miał łatwego życia w swojej parafji. „Merkurjusz“, organ nieoficjalnego gestapo polskich hitlerowców, odrazu wywęszył, że ks. Puder jest konwertytą. Żyd — o zgrozo — katolickim księdzem. Na łamach „Merkurjusza“ rozpoczęła się kampanijka dyfamatorska według „najlepszych wzorów“. Były nawet delegacje do władz kościelnych, mające wyrazić oburzenie aryjskich parafjan nieszczęsnego księdza. Skończyło się tak jak się skoczyć musiało. Co ordynarny „Merkurjusz“ zaczął, tego młody faszysta Rafał Michalski dokończył, policzkując ks. Pudra w kościele. Sponiewieranemu księdzu towarzyszy niewątpliwie współczucie wszystkich ludzi uczciwych bez względu na przekonania, zdolnych głęboko odczuć osobistą tragedję człowieka, którego droga do katolicyzmu napewno łatwa nie była, który o katolicyzmie (sądząc po jego wybitnem wykształceniu teologicznem) wiedział dużo więcej niż jego dyfamatorzy, tragedję człowieka, którego potem bije taki Michalski i rzuca w twarz pełne pogardy: „Masz, ty Żydzie“.

Ale sprawa sięga znacznie dalej poza tragedję jednego człowieka. Napad w kościele św. Jacka jest symptomem pewnych doniosłych w życiu polskiem zjawisk i dlatego w całym kraju wywarł wrażenie ogromne. Wstrząsnął zwłaszcza kołami katolickiemi, jakkolwiek niektóre pisma katolickie z łatwo zrozumiałych względów politycznych wolały napad zbagatelizować. Inne — trzeba to przyznać — postawiły sprawę uczciwie: „napad jest owocem obłędnej nienawiści rasowej, szerzonej wbrew naukom kościoła przez polskie ugrupowania nacjonalistyczne; trzeba z tem skończyć“.

Zarówno w kołach nacjonalistycznych, jak i katolickich, ohydny napad na ks. Pudra uznano, słusznie zresztą, jako groźną oznakę zbliżającej się chwili rozstania między polskim faszyzmem a polskim katolicyzmem. Obie strony wolałyby oczywiście moment rozstania odwlec w nieskończoność, bo trwająca dotąd symbioza faszystowsko-katolicka przynosi obu stronom korzyści nie do pogardzenia. W środowiskach, na które w Polsce rozciąga swoje macki propaganda faszystkowska, katolicyzm jest bez wątpienia ponętnym atutem propagandowym. Faszyści dobrze zdają sobie sprawę z tego, ileby stracili, gdyby z tej karty musieli zrezygnować. A z drugiej strony poczciwi katolicy polscy mimo całego zaufania w niepożytą siłę prawd moralnych, sądzą, że szturmówki faszystowskie są nierównie lepszem zabezpieczeniem przed groźną potęgą legendarnego „fołksfrontu“ niż encykliki Piusa XI przeciwko radykalizmowi. A jedak, jeśli faszyści chcą zostać faszystami, a katolicy katolikami, to prędzej czy później przyjdzie ten dzień, gdy polscy faszyści i polscy katolicy, choćby z największym bólem będą sobie musieli powiedzieć „dowidzenia“,

Dzisiaj jest to rzecz przesądzona: między opartym na najszerszym, jaki sobie można wyobrazić, uniwersalizmie światopoglądem katolickim, uniwersalizmie, który obejmuje wszystkie klasy, wszystkie narody i rasy, a światopoglądem faszystowskim, którego podstawą jest eksklusywny partykularyzm narodowy czy rasowy, między temi przeciwstawnemi światopoglądami zgody być nie może.

Resztę wątpliwości, jakie się mogły nasuwać, rozwiały ostatnie wypowiedzi Watykanu na ten temat. Wyobrażamy sobie czarną rozpacz naszych faszysto-katolików i katoliko-faszystów, gdy czytają n. p. syllabus Świętej Kongregacji Seminarjów i Uniwersytetów z dnia 13 kwietnia 1938 r., który wszystkie najdroższe naszym „narodowcom“ prawdy o rasie i krwi ogłasza jako „całkowicie fałszywe“. Nie zdziwilibyśmy się, gdyby w tych warunkach sympatycznym publicystom z „Prosto z Mostu“, którzy z dużym nakładem talentu i cierpliwości usiłują pogodzić katolicyzm z faszyzmem, ręce opadły w zwątpieniu. Ach ten papież, ten papież! Cóż dziwnego, że na szpaltach różnych zagranicznych „Merkujuszów“ zaczyna się już przebąkiwać o porozumieniu między Watykanem a Kremlem. Nie dostaniemy zawrotu głowy, gdy pewnego dnia na łamach naszych pism narodowych, które już dawno znicowały katolicyzm Maritain‘a, Mauriac‘a, kardynała Verdiera, p. p. Wasiutyński, Piasecki lub Nowaczyński w sposób niezbity wykażą, że papież — niestety — jest „zatwardziałym heretykiem“, tudzież „powolnem narzędziem“ masonerji. Gdy się to stanie, wtenczas ze szczególnem uznaniem uchylimy czoła przed odważną konsekwencją naszych publicystów narodowych.

Katolicy na Zachodzie dawno już zauważyli przepaść rozwierającą się między faszyzmem a katolicyzmem. Pierwsi katolicy Francji i Belgji wyrzekli owe tragiczne: „co mnie, a tobie niewiasto“? Nic dziwnego, że miarodajna opinja polskich pism „narodowych“ poza nawias społeczności katolickiej postawiła: Maritain‘a, Mauriac‘a, kardynała Verdiera ostatnio w niełaskę popadł doniedawna chwalony Bernanos, gdy ośmielił się powiedzieć, że Franco to drań, nie mający nic wspólnego z katolicyzmem. We Francji jeszcze tylko wykluczony z kościoła Maurras oraz exkomunista Doriot reprezentują „prawdziwy“ katolicyzm. Katolikom niemieckim i austrjackim pełnym najlepszych chęci do zgodnego współżycia, pierwsi hitlerowcy powiedzieli smutne słowo rozstania. Katolicy polscy, którzy z przerażeniem przyjmowali wieści o zaciętych walkach między faszystami a katolikami na Zachodzie, z słowiańską prawdziwie lekkomyślnością sądzili, że te walki Polskę ominą, że w Polsce księża po wieczne czasy będą błogosławić faszystowskie szturmówki. Ale takie wypadki, jak napad na księdza w kościele św. Jacka w Warszawie, groźnie ostrzegają, że sielanka ma się ku końcowi.

Katolicyzm oddał ugrupowaniom faszystowskim w Polsce wielkie usługi. Wspomnimy tylko ową pełną przychylności atmosferę, jaką sfery katolickie otaczały awanturującą się na uniwersytetach młodzież endecką, owe udzielane dla przyzwoitości bojówkarzom faszystowskim w pismach katolickich nagany, które się równały pochwałom, wciąganie kleryków do akcyj politycznych po stronie ugrupowań faszystowskich, tolerowanie faszystowskich manifestacyj na „Jasnej Górze“. Polscy katolicy zapomnieli, że faszyści na całym świecie zwykli grubą niewdzięcznością odpłacać swoim sprzymierzeńcom za oddane usługi.

Takie wypadki, jak napad na ks. Pudra, wywołuje w kołach katolickich pewne otrzeźwienie. Klerykalny „Głos Narodu“ pisze: „Świętokradztwo i profanacja, do której doszło ubiegłej niedzieli w kościele św. Jacka, wzbudzić musi w opinji polskiej a zwłaszcza w aktywnych kołach katolickich, gruntowne zastanowienie“. Tak — trzeba się będzie gruntownie zastanowić i trzeba będzie dokonać wyboru.

Józef Lubojański

Oblicze dnia

Marzenia monarchistów. Dwóch książąt, sześciu markizów, dziesięciu hrabiów, kilku baronów, czteru generałów i nowowybrany do Akademji francuskiej Charles Maurras wypili toast na cześć króla Jana III, królowej Izabeli, hrabiego Paryża, hrabiny Paryża i całej rodziny królewskiej.

Biedny Paryżanin żyje w zupełnej niewiedzy, jakich ma władców.

Minister czy inkwizytor? Minister spraw wewnętrznych w Burgos, Serrano Sanez wygłosił mowę, w której nazywa Maritain‘a i Mauriac‘a, dwóch francuskich pisarzy katolickich, największymi wrogami Hiszpanji faszystowskiej, gdyż będąc katolikami oskarżają Franca o okrucieństwa. „Wrażliwość niektórych ludów **zbyt cywilizowanych** została obrażona bombardowaniem ludności cywilnej przez nasze sławne lotnictwo“.

Ideał administracji. Stanisława Kuszelewska („Gazeta Polska“, 29. VI. 1938 r.) w artykule „Łamigłówka“ podaje takie wiadomości o mieście Skarżysko-Kamienna:

„Miasto Skarżysko-Kamienna.

Gdzie leży? Między Radomiem a Kielcami. Dlaczego nie powiem dokładnie i po prostu w jakim powiecie, w jakiej gminie? Bo tego nie można powiedzieć ani dokładnie, ani poprostu. To wymaga całej litanji. Proszę mi nie zarzucić kłamstwa, jeśli litanję tę wyrecytuję. Miasto Skarżysko-Kamienna leży bowiem — cóż poczną? — w powiatach czterech: kieleckim, radomskim, koneckim i iłżeckim. Prócz tego leży też w pięciu gminach wiejskich: Szydłowiec, Skarżysko Kościelne, Wąchock, Suchedniów i Bliżyn. Czy to koniec? Nie.

Województwo ma w Kielcach.

Dyrekcję pocztową — w Lublinie.

Kuratorjum szkolne — w Krakowie.

Dowództwo korpusu — w Przemyślu.

Diecezję — w Sandomierzu.

Ubezpieczalnię (instancję odwoławczą) — w Radomiu.

Urzędy skarbowe — w Końskich“.

Nie Franco, lecz Włosi. Prasa włoska donosi z tryumfem, że w ciągu trzech tygodni lotnictwo legjonistów włoskich zbombardowało 16 okrętów.

Flota angielska w czasie 31 ataków powietrznych, w siedmiu tygodniach utraciła 13 okrętów.

Zajęcia wojewody. Prasa obszernie opisywała, jak wojewoda poleski, Kostek-Biernacki w chłopskiem przebraniu odwiedzał wsie i miasteczka swego województwa. Podsłuchiwał rozmów, wszczynał gawędy ze spotkanymi obywatelami, chciał wiedzieć, bez pośrednictwa, co myśli każdy obywatel.

„Słowo“ wileńskie opisuje takie zdarzenie: Do pewnej wsi podjechała wspaniała limuzyna. Wyskoczył z niej wojewoda w przebraniu chłopa i szybko zbliżył się do posterunku policji. Nie było tam nikogo. Drzwi były zamknięte. Okna jednak były otwarte. Długo się nie namyślając, wojewoda wskoczył przez okno do posterunku i zabrał wszystkie znajdujące się tam karabiny. Wyniósł je również przez okno, zabrał do samochodu i odjechał.

Niedługo wrócił komendant posterunku. Był przerażony. Rozpoczęły się rozpaczliwe poszukiwania. Zaalarmował wszystkie najbliższe posterunki, aby szukały skradzionych karabinów. Groziła wielka kara. Poszukiwania były jednak daremne.

Nagle zadzwonił telefon. Komendant podbiegł uradowany, spodziewając się, że już wszystko dobrze. W słuchawce brzmiał mocny i twardy głos. Wojewoda dojechał do najbliższego starostwa i stamtąd donosił o swojej wizycie.

Komendant posterunku i policjanci nie czekali długo na następstwa.

W oczach Zachodu

Pisarze w sprawie Hiszpanji. Liga pisarzy amerykańskich wydała odpowiedzi 418 pisarzy amerykańskich, w których liczbie znajdują się największe nazwiska Stanów Zjednoczonych, na ankietę: „Jest pan za czy przeciw gen. Franco i faszyzmowi? Jest pan za czy przeciw rządowi legalnemu i ludowi Hiszpanji republikańskiej“?

Na 418 odpowiedzi tylko jedna jest profaszystowska, siedem neutralnych, zaś 410 prorepublikańskich.

Sherwood Anderson: „Oczywiście, jestem przeciw wszystkim przeklętym faszyzmom i wszelkiego rodzaju dyktaturze“.

Pearl S. Buck: „Niezachwanie jestem przeciw faszyzmowi, dlatego także i Franco, i wybieram republikański rząd Hiszpanji“.

Theodor Dreiser: „Jestem przeciwny faszyzmowi i gen. Franco, dlatego, gdyż faszyzm oznacza utratę wolności intelektualnej, kontrolę militarystyczną i represyjną przy równoczesnem wzmocnieniu ideologij fałszywie religijnych, ogólnie mówiąc faszyzm to antyteza wszelkiej nadziei sprawiedliwego traktowania, które inne formy rządów przynajmniej obiecują obywatelowi“.

William Faulkner: „Pragnę z całego serca zapisać się jako niezłomnie przeciwny Franco'wi i faszyzmowi, wszystkim gwałtom zadanym legalnemu rządowi i zniewagom ludu hiszpańskiego“.

Ernest Hemingway: „Jestem uczciwym człowiekiem, dlatego przeciwny Franco'wi i faszyzmowi“.

Upton Sinclair: „Jestem za robotnikami i chłopami na całej kuli ziemskiej i dlatego przeciw Franco'wi, Hitlerowi i Mussoliniemu we wszystkich formach, łącznie z temi, jakie się widzi w Ameryce“.

Fannie Hurst: „Jestem przeciw ospie, morderstwom, uprzedzeniom rasowym, wojnie, niesprawiedliwości, fałszowaniu mleka, faszyzmowi, grubym zarobkom za cenę trupów, mordowaniu bombami dzieci chińskich“.

Podobny plebiscyt między pisarzami Szwecji i Danji dał 99 procent na rzecz rządu i ludu hiszpańskiego.

O wolności myśli. Osiemdziesięciu paryskich profesorów szkół wyższych zwróciło się z apelem do studentów w sprawie wolności myśli.

„Cierpicie widząc uniwersytet francuski narażony na to, że naśladuje tę mniejszość w narodzie, która w wielu wypadkach zniekształca obraz ojczyzny, w kraju i zagranicą. Filozofowie i uczeni francuscy stają pierwsi, by bronić wolności sumienia i pierwszeństwa rozsądku; nie uchylimy czoła przed kłamstwem i gwałtem.

Student francuski zazdrosny o swoją niezależność osobistą, skłonny do krytyki i ironji, nie będzie myślał wedle gotowych doktryn i nie ulegnie idolatrji, którą chciano by tu zaszczepić“.

Przyszła wojna. Sir Malcolm Campbell w artykule o okrucieństwie wojny nowoczesnej pisze, że powszechny strach przed atakami gazowemi jest o tyle nieusprawiedliwiony, że należeć one będą do ostatniej fazy wojny. Za najgroźniejszy moment uważa nalot samolotów rzucających bomby wzniecające pożar, gdyż używane będą bomby o pojemności 500 litrów płynu. Więc nie maski ale olbrzymie schrony dla ludności, oto przygotowania do obrony przeciwlotniczej. Berlin liczy 7.000 schronów; Londyn 60. W Niemczech na przestrzeni całego państwa każda fabryka jest zobowiązana do zapewnienia robotnikom schronu. We Włoszech każdy nowobudujący się dom musi mieć schron dla lokatorów.

Komisja angielska bawiąca we Francji wyraża się z najwyższem uznaniem dla rozwiązania sprawy ochrony ludności na wypadek nalotu nieprzyjacielskiego.

W kraju, gdzie nie będzie odpowiednich schronów, straty śród ludności cywilnej będą olbrzymie.

Malcolm Campbell doradza, aby przy każdej szkole pod ogrodami, boiskami, dziedzińcami urządzać schrony.

Pisarze francuscy i Meksyk. Grupa pisarzy francuskich wysłała telegram do pisarzy meksykańskich, protestując przeciw stanowisku rządu angielskiego w sprawie nacjonalizacji nafty przez prezydenta Cardenas'a.

„Prosimy pisarzy meksykańskich. aby przekazali prezydentowi Cardenas'owi wyrazy sympatji i podziwu. Międzynarodowe towarzystwo dla obrony kultury. Aragon, Bloch, Chamson, Malraux.

Mussolini i Hiszpanja. Mussolini oświadczył światu, że lotnictwo włoskie zrzuciło półtora miljona kilogramów bomb na Hiszpanję republikańską. Jeśli się zważy, że lotnictwo włoskie bombarduje przedewszystkiem szkoły w godzinach rannych, targi kiedy są pełne, szpitale wojskowe i cywilne, to owych półtora miljona kilogramów bomb oznacza nie tylko mord dziesiątków tysięcy dzieci, kobiet i rannych, ale rozpaczliwą i bohaterską wolę zwycięstwa męczeńskiego ludu Hiszpanji.

Pesymistyczne spojrzenie na świat. Oto co pisze w „Marianne“ sławny Dawid Lloyd George, b. premjer angielski: „Istnieją trzy bardzo proste sprawdziany stanu spraw Anglji, które dostarczają mi objektywnych informacyj. Miesięczny bilans handlu i żeglugi, tygodniowa cyfra obrotu kolejowego i statystyka bezrobocia. Chociaż żaden z tych trzech informatorów nie przepowiada katastrofy, budzi jednak poważne obawy.

Wywóz spadł o 7% w stosunku do maja roku poprzedniego. Nie jest to cyfra duża, ale jeśli spadek nadal będzie się zaznaczał w tem samem tempie, jak to widzimy od początku roku, sytuacja stanie się poważna.

Ta sama uwaga dotyczy kolei żelaznych. Mimo podwyżki taryf, suma wpływów jest o wiele niższa od roku ubiegłego.

Liczba bezrobotnych wzrosła o 300.000 osób.

To co czyni sprawę spadku obrotów jeszcze bardziej przygnębiającą to fakt, że dzieje się on w czasie, gdy takie zawrotne sumy są wydawane na dozbrojenie.

Gdyby chwilowy stimulans tych nadzwyczajnych wydatków był cofnięty Anglja przechodziłaby bardzo poważny kryzys. Nic nie zapowiada poprawy, przeciwnie wszystkie oznaki są złowróżbne, nawet rejestracja projektów budowlanych przedłożonych tego roku do zatwierdzenia władz miejskich wszędzie wykazuje zniżkę.

Alarmujący spadek wywozu angielskich produktów włókienniczych wyraźnie wskazuje na światowy kryzys. Świat nie kupuje, więc i nie sprzedaje. Ludzie są tak niepewni przyszłości, że kupują i budują tylko to co konieczne, i to co zaraz jest konieczne.

Chciałbym wiedzieć jak ci, którzy twierdzą, że wszystko jest dobrze i będzie dobrze, wytłumaczyliby kilka faktów tak dalece niezgodnych z beztroskim optymizmem. Jeśli tak wszystko jest w porządku i jeśli nie potrzebujemy się obawiać przyszłości, dlaczego narody popadły w gwałtowne konflikty, dlaczego powiększyły czterokrotnie cyfrę zbrojeń w ciągu ostatnich lat i ciągle jeszcze ją powiększają?

W obecnej chwili trzy wojny sieją zniszczenie. Wojna abisyńska została zapomniana przez wszystkich z wyjątkiem Włochów i Abisyńczyków. Obywatel włoski płacący podatki jest świadomy, w dotkliwy sposób, wzrastającego niepokoju, a góral abisyński na własnej skórze doświadcza skutków terroru.

Wojny w Chinach i w Hiszpanji toczą się przed oczyma świata i codzień przynoszą nowe okropności. Obie są nadto przeszkodą w międzynarodowym handlu, w kupnie, sprzedaży i transporcie.

Ale pośrednie ciosy zadane handlowi przez toczące się wojny są o wiele większe niż zmniejszenie handlu z krajami niszczonemi a nawet niszczenie materjału przez naloty.

Można z wielką dozą słuszności obawiać się, by płomienie wojny nie ogarnęły Europy. W takiej sytuacji ani wielcy handlowcy, ani bankierzy ani przemysłowcy nie wiążą się długoterminowemi pożyczkami. Jedyne przedsięwzięcie, przed którem narody się nie cofają, to kupowanie tanków, artylerji ciężkiej i samolotów myśliwskich.

Karta Europy Środkowej uległa zmianie, ale najbardziej rewolucyjna zmiana odbywa się na Dalekim Wschodzie. Jeżeli Japończycy zwyciężą, będą najpotężniejszem imperjum świata, liczącem czwartą część ogólnej liczby mieszkańców globu i mogącem wystawić armję złożoną z pięćdziesięciu miljonów ludzi.

Istnieje również możliwość, że zwycięzcami będą Chińczycy, którzy w miarę trwania wojny, nie tylko łączą się w jeden naród, ale i uczą się od Japończyków techniki wojny nowożytnej. Również wzdłuż całej granicy swego państwa utrzymują coraz lepsze stosunki z światem zewnętrznym. Na szczęście dla nich nie zawiązał się jeszcze komitet nieinterwencji obradujący w Londynie, któryby przechylał szalę na korzyść napastników pod zwodniczym pretekstem bezstronniczości“.

Nad zatoką meksykańską

Sugestywność i siła utworów Huxley'a to, poza walorami intelektu i uzdolnień, wynik poziomu i atmosfery kulturalnej, z której wyrasta i którą reprezentuje pisarz angielski. Straszliwa fala wstecznictwa i barbarzyńskiego szowinizmu wypchnęła niejako „kulturę europejską“ na widownię polityczną, czyniąc z niej pojęcie o pierwszorzędnem znaczeniu aktualnem. Kultura ta oznacza najszczytniejszy dorobek XIX wieku (pochwała tego wieku przez Parandowskiego jest bez wątpienia głęboko uzasadniona, chociaż niepełna), zdobycze demokratyczne rewolucji francuskiej, humanizm i nienaruszalność praw człowieka i obywatela — i staje się coraz widoczniejszem przeciwstawieniem totalistycznych koncepcyj poniżenia człowieka i pociągnięcia go spowrotem ku średniowieczu. Indywidualność Huxley'a, razem z wadami, to klasyczne uosobienie tych cech, o których utrzymanie i przechowanie toczy się zacięta walka. Sam styl Huxley'a to wierny obraz nie tylko temperamentu, ale pisarza — wytworu epoki, spadkobiercy wielkiej szkoły literatury francuskiej i angielskiej XIX i XX wieku. Antoni Beauvis, bohater „Niewidomego w Gazie“, wybucha gwałtownie przeciwko Proustowi. Jest to jednak tylko protest utalentowanego ucznia, który „nakarmiwszy“ się Proustem, buntuje się przeciwko zbytniej uległości, grożącej przerodzeniem się w manjerę. Najszlachetniejsze wpływy Prousta wciąż dają znać o sobie nawet w opowieści o meksykańskiej podróży, wyraźnie klasyfikując poziom kulturalny autora. Dłuższe rozważania czy opisy spina nagle Huxley esencjonalna i zwartą metaforą, szczegółowo proustowskiego typu, której zwartość, istotność poetycka i celowość przejrzyście uwypukla zamierzony sens całego ustępu. W jednym z końcowym rozdziałów „Zatoki meksykańskiej“ Huxley porównywa 2 zdania: jedno ze współczesnej powieści, drugie z opisowej prozy roku 1843 i dochodzi do wniosku, że dla napisania: „włócznia najwyższej pogody, poplamiona plamami słońca“, zamiast: „jasne wieże i baszty błyszczące w promieniach słońca“, — trzeba było olbrzymiej pracy Rimbaud'a, Conrada, d'Annunzia i innych, aby wyrażenia te stały się dostępne dla pióra. Uleganie Proustowi dowodzi osiągnięcia tego poziomu kulturalnego, który jako widoczny znak dalszych i właściwych tendencyj rozwojowych ludzkości musi się stać oczywistym celem ataków reakcji. O poziomie kulturalnym świadczy zresztą nie tylko styl. W „Zatoce meksykańskiej“ brak właściwie źródłowych informacyj, reporterskiej wierności i opisowości. Wydaje się, że nie waga spostrzeżeń, ale raczej wnioskowanie stanowi o zaletach książki. Przebywanie na statku, Guatemala, Atitlan, Solola, Chichicastenango są niejako tylko tłem dla refleksyj i błyskotliwych, ale pozornie odległych koncepcyj i wniosków. Na umiejętność zaś takiego obserwowania i podróżowania składać się musi obok zdolności pisarskich, głęboko przeżyta kultura, określana dziś jak kultura Europy.

Że tak jest, że pisarz wiernie reprezentuje te wartości, potwierdza w całej rozciągłości konsekwentny i zdecydowany stosunek do rasizmu i nacjonalizmu. Zetknięcie się ze śladami dawno umarłej cywilizacji indyjskiej i z operetkową państwowością nacjonalistycznej Guatemali wywołuje mądre i głębokie uwagi o dalekich szaleństwach, wstrząsających współczesną Europą.

Zastanawiając się np. nad tem, że w sztuce Majów objawia się zamiłowanie do tematu śmierci, zaś w sztuce Hindusów do erotyzmu, dochodzi Huxley do wniosku, że w każdym razie nie można szukać odpowiedzi w teorji rasowej, chociażby, jak w tym jaskrawym przykładzie, pozory mogły za tem przemawiać. Różnice między tradycjami artystycznemi Majów i Hindusów przypisać należy kulturalnej, nie rasowej dziedziczności. „W Europie zaś — wywodzi Huxley — wszelkie gadanie o wrodzonych różnicach między rasami, nie mówiąc już o tak zwanej wyższości albo niższości rasowej, jest całkowicie bezpodstawne, dla tej prostej przyczyny, że czystą rasę można dziś znaleźć chyba tylko w jakichś najdalszych zakątkach i ślepych uliczkach kontynentu, a i tam bez wątpienia niema nieskażonej czystości krwi“. Wbrew rasistowskim teoretykom stwierdza również, że przyczyn wyższości pewnych cywilizacyj szukać należy w tradycji kulturalnej, nie zaś we wrodzonych różnicach między „rasami“.

Stosunek Huxley'a do nacjonalizmu i militaryzmu jest bezkompromisowo negatywny. Nie rozróżnia więc jakiegoś nacjonalizmu zdrowego, słusznego, koniecznego, usprawiedliwionego rzekomą koniecznością cywilizacyjną, historyczną czy jakąś inną. Powołuje się głównie na przykład Niemiec i Włoch, jako klasycznych krajów zorganizowanej pychy zbiorowej i nienawiści, nie stara się jednak w niczem usprawiedliwić nacjonalizmu np. francuskiego, w którym „upajającą radość wrzeszczenia wraz z tysiącznym tłumem: „Deutschland, Deutschland über alles“ zastępują inne trochę słowa i inna melodja.

Zysk prywatny i konkurencja kapitalistyczna nie potrafią według Huxley'a wytłumaczyć wojen. W istocie bowiem — pisze Huxley — t. zw. wojny ekonomiczne są wojnami namiętności. Uproszczenie Huxley'a, polegające na tem, że pomija przyczynę wybuchu tych namiętności, czyli nic innego, jak właśnie „byt społeczny“, nie przeszkadza jednak zdemaskowaniu i obnażeniu właściwej mechaniki szowinizmu.

Poza teorją i praktyką nacjonalizmu dostrzega Huxley trzy namiętności. Nienawiść, zbiorową pychę, wcieloną w każdego poszczególnego członka jakiejś grupy, uważanej przezeń za wyższą i lepszą niż inne grupy i nadającej tę wyższość jemu samemu i wreszcie trzecią siłę, z której obie poprzednie czerpią swą energję t. j. „chęć należenia do gromady, która jak nic wzmocnić potrafi psychicznie jednostki typu stadnego“. Dla Huxley'a jest niewątpliwe, że „pęany samouwielbienia, któremi nieustannie zachłystują się nacjonaliści, są zawsze skłonne do modulacji w kierunku oszczerstw, rzucanych na bliźniego“. Wynoszenie pod niebiosa własnej grupy musi w konsekwencji wywołać oczernianie i osądzanie od czci innej grupy, co więcej doprowadzić do wyładowywania nagromadzonej nienawiści, oczywiście w stosunku do najbardziej dostępnych. „Barwa bowiem zadka — stwierdza Huxley — nie jest tak ważna, jak jego dostępność dla kopniaków“. Wśród spokojnych i nieznających masowych rzezi Indjan Ameryki Środkowej, żony, dzieci i wiejscy przestępcy służą za żydów, czerwonych lub masonów. Inaczej wygląda to w cywilizowanym świecie europejskim, gdzie mistrzowie zorganizowanej nienawiści wyszukują sobie słabych sąsiadów i dia „pożytku spragnionych tłumów“ przemieniają ich w „odwiecznych wrogów“.

Niema — według Huxley'a — kompromisu między światem zorganizowanej nienawiści i ciągłego podsycania jej przez wielkich wodzów, a rozwojem i przyszłością ludzkości. Nie ucząc, nie wskazując drogi, wraca jednak pisarz z podróży nad zatoką meksykańską uzbrojony w niezachwiane przekonanie o konieczności odrzucenia nacjonalizmu, który przystrojony w najpiękniejsze barwy, ozłacany i osrebrzany legendami o bohaterstwie i wzniosłości, w rezultacie może doprowadzić tylko do „orgji“ — jak dosadnie określa Huxley — wzajemnego potępienia się i wyrzynania.

Rafał Len

Demon leśnego bataljonu

W najbliższych dniach ukaże się nakładem Tow. Wyd. „Rój“ książka Kennetha Robertsa p. t. „Demon leśnego bataljonu“ — pierwszy tom wielkiego dzieła p. t. „Szlak Północo - Zachodni“ — „The Northwest Passage“. Dzieło to w Stanach Zjednoczonych, w Anglji i na całym świecie narobiło tyle wrzawy, ile niegdyś „Na Zachodzie bez zmian“ Remarque'a. Wprawdzie terenem akcji jest Ameryka Północna XVII-go wieku, a tłem spór orężny Anglików i Francuzów o Kanadę, roztrząsany z udziałem indjańskich sprzymierzeńców, jednakże spostrzeżenia na temat wojny są tak współczesne i aktualne, ludzie, którzy uczestniczą w zdarzeniach, tak bliscy nam i żywi, że bez trudu przenosimy się do oddalonej epoki i z wciąż rosnącem zainteresowaniem podróżujemy po niej. Dzieło ma piętno wszechludzkie, bowiem został w niem pokazany jeszcze raz, i to z wyjątkową plastyką, konflikt silnej twórczej jednostki ze środowiskiem krótkowzrocznych karjerowiczów. Dziwne i urzekające jest u Robertsa połączenie awantury mrożącej krew w żyłach, z głębią refleksji, skojarzenie porywającego toku zdarzeń ze śmiałym rysunkiem charakterów. Z głównym bohaterem dzieła, majorem Rogersem, pokonywamy bagniska puszczy kanadyjskiej, palimy twierdze Indjan, chodzimy po staroświeckim Londynie, udajemy się na wyprawę, która niby wyprawa Kolumba, odkryć ma drogę wodną do Indyj — sławny Szlak Północo - Zachodni; razem z nim ulegamy tysiącznym prześladowaniom, padamy ofiarą podłych intryg, gnijemy w więzieniach Anglji i Ameryki. Razem z drugim bohaterem, Langdonem Towne, błądzimy po Kanadzie, rysując pastelowe portrety Indjan, buntujemy się przeciwko ograniczonemu światopoglądowi epoki, przerywamy cierpienia niewzajemnej miłości. Książki Robertsa są jak rzeka o bystrej, rozigranej w słońcu powierzchni: ale nurt ich głęboki, a dno przepastne, bo z dna tego wylania się zawikłana w tysiące bolesnych przeciwieństw twarz ówczesnego i wiecznego człowieka.

Dodajemy fragment z pierwszego tomu.

Reszta tego dnia i cały dzień następny minęły jak zły sen. Szare ukośne całuny deszczu przesuwały się przez szare drzewa i przez szare góry. Brudnoszara rzeka wiła się między rdzawo-szaremi brzegami po zmarznięte międzygórzu koloru szarej sadzy.

W odrętwieniu przeleźliśmy dwudziesty trzeci października. Nazajutrz, dnia 24-go, Rogers rozgarnął ogień, wykopał dymiące brunatne bulwy i podzielił je między nas. Wypadło po cztery sztuki na osobę, a przecież każdy z nas mógłby pożreć korzec. Smakosze zapewne wzgardziliby takiem daniem, ale cóż? żaden ze znanych mi smakoszów nie był nigdy bliski śmierci głodowej. W przeciwnym wypadku wiedziałby, że pokarmy, cieszące się powszechnie opinią odrażających — takie jak mięso psa, konia, węża, mewy morskiej, żbika, skunksa, albo surowe mięso ryby — dla ludzi naprawdę głodnych słodsze są od ambrozji.

W ciągu dnia 24-go Rogers wytężał wszystkie siły, aby tchnąć w ludzi otuchę. Kiedy przeklnęli mizerne porcyjki tawho i katnisu, wpadł na humorystyczny pomysł: kazał im się golić.

— Jeżeli mam dla was zdobyć żywność — tłumaczył im, — trzeba, abyście wyglądali po ludzku! Nie mogę odróżnić jednego od drugiego. Jeżeli będziecie podczas mej nieobecności dalej tak obrastali, może się zdarzyć, że przybędę tu z ludźmi i prowiantami, weźmiemy was za rysie i nakarmimy ołowiem, zamiast czemś jadalnem.

Niełatwo było zaciągnąć ludzi nad rzekę, jeszcze trudniej przekonać ich, aby namydlili sobie twarze — gdyby mydło nie



Juljusz Krajewski: Chłopi



Helena Malarewicz: W oczekiwaniu na pracę

miało tak obrzydliwego smaku, dawnobyśmy je zjedli! Rozczarowanie, z jakiem spotkaliśmy się poprzedniego dnia, pochłonęło ostatki sił. Nasze brzytwy, nieużywane od 13-go września, zardzewiały, pomimo że owinęliśmy je przetłuszczonemi szmatami. A brody, zlepione, pełne sadzy, popiołu i brudu, stawiały klingom nielada opór.

Gdy żałosne towarzystwo pozmywało krew z pomiętych twarzy i kieszonkowemi nożyczkami wzajemnie sobie poobcinało zmierzwione włosy, strasznie było na nich spojrzeć. Krótko postrzyżone głowy wyglądały jak nagie czaszki; pokancerowane twarze tak wychudły, że aż wstyd było pokazywać je bez obsłonek. A przecież to golenie i strzyżenie tchnęło w mizeraków nowe życie. Poprostu przypomnieli sobie, że pomimo wszystko są ludźmi. Na rozkaz Rogersa zabrali się nawet do szukania bulw i wykopali ich wielekroć więcej, niż my poprzedniego dnia .

Wówczas pozwolił im wrócić do drewniaka. Leżeli w stanie pół-snu, pół-jawy przez całe popołudnie. Tymczasem ulewa grzmiała o dach, a Rogers głośno i wesoło rozprawiał.

— Pomyślcie — przemówił do Ogdena, Averye'go i Granta, ale tak, abyśmy go wszyscy słyszeli: — powrócę z żywnością nie później niż za dziesięć dni. Możecie na mnie liczyć. Tymczasem będziecie kopać bulwy. I jeśli nawet nie uda się wam ustrzelić sarny lub łosia, nie zaznacie prawdziwego głodu!

Zwrócił się do mnie: — Towne, mówiłeś mi, jeszcze w Crown Point, żeś studjował Biblję. Czy tam ktoś w Biblji nie szedł przez czterdzieści dni bez pożywienia?

Trudno było przypomnieć sobie. Wszystko, czego nauczyłem się w przeszłości, tkwiło gdzieś głęboko w fałdach mózgu, niby przestraszone anemony morskie, które wsiąkają w skałę. Ale pod naporem słów Rogersa pamięć zaczęła odżywać.

— Czterdzieści dni? — powtórzyłem z męką. — Czterdzieści dni? Tak, zdaje się, że w Biblji ktoś pościł przez czterdzieści dni. Może nasz Pan, może Mojżesz, może Eljasz, a może oni wszyscy.

— Aha! — z tryumfem zawołał Rogers. — Słyczycie, co powiada Towne, słyszycie wszyscy? Towne powiada, że w Biblji jest napisane o ludziach, którzy szli przez czterdzieści dni, nie mając w ustach strawy. Nie mieli pieczonych korzonków, nie karmiono ich gorącym katnisem, nie dawano im świeżego ciepłego tawho... Nie, sir, nic nie mieli w ustach! Ani kęsa, prawda, Towne?

Mój mózg zwolna zaczynał funkcjonować. Przypomniałem sobie, co Mojżesz mówi w Deuteronomji: że szedł przez czterdzieści dni i nocy bez kęsa chleba i bez łyku wody.

— Bez chleba? — powtórzył Rogers i oczy mu na chwilę przygasły. — Szedł bez chleba? Ale to nie znaczy przecież, że miał kartofle i brukiew i sałatę i pasternak...

— Nie, jasne, że nie! — Wytłumaczyłem, że mówiąc „chleb“, Mojżesz miał na myśli wszelkiego rodzaju pożywienie; że słowo „chleb“ oznacza tu strawę w ogólności. Rogers odetchnął z ulgą.

— Słyszeliście? — rzekł głośno. — Mojżesz przeżył czterdzieści dni i nocy bez kęsa strawy i bez łyku wody. Oczywiście, nie mógł przez taki długi czas obyć się zupełnie bez wody, bo organizm człowieka tegoby nie wytrzymał. Toteż wcale nie chcę, abyście wierzyli, że Mojżesz szedł przez czterdzieści dni bez wody. Kiedy powiada, że szedł bez łyku wody, to ważne jest tu słowo „łyk“. Natomiast nie powiada Mojżesz, że szedł bez jednej kropli wody. To jasne! Mojżesz był świętym człowiekiem i ręczę, że nie powiedziałby rzeczy niewiarygodnej. Słowo „łyk“ ma znaczyć, że przez ten cały okres czterdziestu dni Mojżesz ani razu nie pociągnął przyzwoitego łyku wody. Ale kiedy powiada, że nie miał w ustach kęsa strawy, to to jest powiedzenie w znaczeniu dosłownem. Tak pisze w Biblji, a więc rzecz pewna! Przez czterdzieści dni ani kęsa strawy. Wierzysz w to, Ogden? Prawda?

— Ja? — powiedział Ogden. — Czy ja wierzę...

— Naturalnie! — wrzasnął Rogers. — Ogden wierzy. Grant wierzy. Avery wierzy. Wszyscy wierzą! Wiemy, że było dokładnie tak, skoro Towne powiada, że Mojżesz powiada, że tak było! W o ile lepszej jesteśmy sytuacji! Pomyślcie o wodzie! Nie zdarzyło się ani razu podczas całej naszej wyprawy, aby ktoś nie miał tyle wody, ile zapragnął. Patrzcie, patrzcie na tę wodę! Co za woda! Ach, co za woda! Dobra, świeża, zimna deszczowa woda! Jak wam się zdaje, ile Mojżesz by dał za jeden spory dzbanuszek wody, nie mówiąc już o wiadrach? Patrzcie, a marynarze wpadają w szaleństwo, kiedy okręt się rozbije, a oni płyną na kawałku masztu! Ileż oni daliby za jedną miljonową część tej wody, która nas otacza! Myślcie o Mojżeszu, i o rozbitkach, i o Eljaszu, o tych wszystkich, którzy bez jednego łyku wody, zupełnie bez strawy, nie mówiąc już o całych korcach pieczonego tawho i katnisu i...

Przerwano mu. To Grant, cienkiemi, węźlastemi rękami zasłoniwszy sobie usta, parskał i pryskał śliną przez palce. Razporaz wymykał mu się nikły chichot, i po chwili zrujnowany fort napełnił się zdrowym zbawczym dźwiękiem śmiechu. Śmiech wzmagał się, brzmiał coraz głośniej i szerzej, wreszcie nabrał ciała i życia.

Więcej takiego śmiechu, a piekło przestanie być piekłem, pomyślałem. I prawdę mówiąc, kraj, przez który już przeprowadził nas Rogers, musiał być gorszy od drogi, którą przebył Mojżesz na czele dzieci Izraela. Mojżesz odprowadził dzieci Izraela do celu, Rogers również wydobędzie nas z niedoli.

KORESPONDENCJA

ODPOWIEDŹ KOŁONIECKIEMU

Do redaktora „Sygnałów“

P. Roman Kołoniecki, jeden z tych tłumaczów Apollinaire'a, których „potknięcia“ cytowałem w artykule „Ostrożnie z Apollinairem!“, odpowiedział mi w „Pionie“ (nr. 27) artykułem p. t. „**Piwowar nawarzył piwa**“.

Nazwisko moje świetnie się nadaje do kalamburów. Artykuł mój zawierał **kilkanaście** konkretnych i jaskrawych przykładów fałszywego tłumaczenia poezyj Apollinaire'a. P. Kołoniecki, któremu „wytknąłem“ **sześć** błędów (w tem **jeden** drobiazg i **pięć** znacznie poważniejszych), jak tonący brzytwy, uczepił się... nazwiska, wyprowadzając sobie z niego złośliwy kalamburek. Bardzo lubię dowcipy i złośliwości, ale żeby z **Piwowara** zrobić tylko złośliwość o **warzeniu piwa** to już jest tak mało wynalazcze, że prawie ordynarne.

Ale i to możnaby znieść, gdyby p. Kołoniecki w swej replice uwzględnił **wszystkie** moje zarzuty, a nie tylko jeden i to najmniej ważny, o którym sam pisałem tak: „Więc najpierw to co drobniejsze“ i „to doprawdy drobiazg“.

Chodzi o tytuł wiersza Apollinaire'a „A la Santé“, który p. Kołoniecki przetłumaczył „Na zdrowie“. Ja ten lapsus wytłumaczyłem sobie (mylnie, jak się okazuje) tem, iż tłumacz nie wiedział, że Santé to jest więzienie i że w tem więzieniu Apollinaire trochę się przesiedział. Kołoniecki wyjaśnił teraz, co lojalnie stwierdzam, że wiedział o tem. Nie przeszkodziło mu to jednak przetłumaczyć **źle**. I upiera się, że tytułu takiego nie zmieni. Proszę bardzo! Z upartymi trzeba jak z dziećmi. Ja tylko jeszcze raz oświadczam, że, według mnie, taki przekład jest zły, i że to, co p. Kołoniecki pisze teraz o samym wierszu, to jest zwyczajne naciąganie.

Żaden z uważnych i rozsądnych czytelników nie doszuka się w tym wierszu tych wszystkich majaczeń, bardzo u nas obecnie modnych, które p. Kołoniecki przysądza Apollinaire'owi. Konia z rzędem temu, kto tam znajdzie ten „dramat chrześcijański“ i to „wypijanie do dna mistycznego kielicha goryczy“ — Kołoniecki porównywa Apollinaire'a do „Chrystusa w Ogrójcu“ — który się miał skojarzyć u autora z „trącaniem się kieliszkami“ i pijackiem powiedzeniem „Na zdrowie!“ („a la santé!“ Tylko że wtedy **santé** pisałoby się z małą literą, a spis rzeczy w „Alcools“ wyraźnie podaje tytuł: „**La Santé**“, tytuł coprawda niepełny, ale właśnie ukazujący, że ważne jest **więzienie, a nie zdrowie**). Tak objaśniać utwór poetycki, jak to robi p. Kołoniecki, to się nazywa robić z igły widły, co nie jest najlepszą metodą poznawania wiersza. Gdyby tytuł miał mieć ten sens: „Na zdrowie“, toby były do tego jakieś odpowiedniki w tekście. Niema ich. Stwierdzam to. Przekład jest zgruntu zły.

A teraz powtórnie pytam i proszę o odpowiedź: czem wytłumaczy p. Kołoniecki pięć pozostałych wytkniętych mu „potknięć“? czem wytłumaczy ten swój błąd zasadniczy, który specjalnie podkreśliłem: ogałacanie wierszy Apollinaire'a z metafor, a tych metafor z ryzyka? jakim kalamburem to osłoni? Przykro mi, że cała sprawa wzięła tak osobisty obrót. Bo zasadniczej intencji mego artykułu p. Kołoniecki nie dostrzegł, albo udaje, że jej nie dostrzegł. W moim artykule zobaczył tylko siebie. A w swej odpowiedzi wyraził tylko swój kiepski humor, nieświeży dowcip i dziecinny upór.

Jeśli się p. Kołonieckiemu zdaje, że mnie dotknął tą swoją zabawką na temat mojego nazwiska, to muszę rozwiać jego złudzenia. Na taki żart mógł się zdobyć tylko człowiek zdenerwowany. A nerwowemu, zamiast „egzegezy“, mogę zaofiarować jedynie szklankę zimnej wody. I samemu wziąć się do zabawy. Naprzykład: z nazwiska mojego można także strzelać. Wycelujmy w p. Kołonieckiego: **piw-paf!** i — oto — p. Kołoniecki leży jak długi.

Lech Piwowar (Dąbrowa Górnicza)

W SPRAWIE KONKURSU POETYCKIEGO

Do redaktora „Sygnałów“

W związku z rozstrzygnięciem konkursu poetyckiego proszę o zaznaczenie, że żaden z wyróżnionych wierszy, wydrukowanych w nr. 48 „Sygnałów“, nie był przeze mnie wysunięty do wyróżnienia, a niektóre tylko z tych utworów wydają mi się godne nawet tej skromnej formy wyróżnienia.

K. W. Zawodziński (Warszawa)

BŁĄD DRUKARSKI

Do redaktora „Sygnałów“

W artykule moim „Żydzi Karola Marxa“ („Sygnały“, nr. 48) znalazł się drobny, ale ważny błąd. Na stronie 6, w szpalcie 2, w wierszu 33 oddołu jest: „Żydzi w kraju naszym, przypuszczeni do posiadania własności gruntowej“... — powinno być: „Żydzi w kraju naszym, **nieprzypuszczeni** do posiadania własności gruntowej“...

Zygmunt Jarosz (Warszawa)

J. L. Katowice. Dziękujemy za artykuł. Prosimy o dalszą pamięć.

K. Fr. Lwów. Prosimy o porozumienie się z redakcją.

„Młody“. Kraków. To „słowa“ i rymy, ale poezji narazie brak.

Vir. Warszawa. Rzecz napisana bardzo nieudolnie.

M. R. Warszawa. Opowiadanie posiada pewne wartości, ale jeszcze nie do druku. Pracować warto. Za słowa uznania i życzenia serdecznie dziękujemy i zasyłamy pozdrowienia.

E. Kr. Warszawa. Artykuł „Pierwiastki macchiawelizmu w faszyzmie“ zachowujemy. Prosimy o podanie adresu.

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK — **Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6.**